

**PODCHORĄŻY**

## ŚWIĘTO PODCHORAŻEGO

odbędzie się dorocznym zwyczajem 29-go b. m. w Warszawie przy udziale delegacji wszystkich Szkół i Kursów. W programie jego zajdzie pewna zmiana, a mianowicie nie odbędzie się część wesoła („Wieczór Podchorążych”) a w tym samym dniu nastąpi wieczorem wyjazd do Krakowa, gdzie delegacje złożą żołnierski hołd u trumny Marszałka Piłsudskiego i wezmą udział w sypaniu kopca na Sowińcu.

## FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać trwałą współpracę z Nimi, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty wyjścia danego numeru „Podchorążego”.

**Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.**

## PREMJE

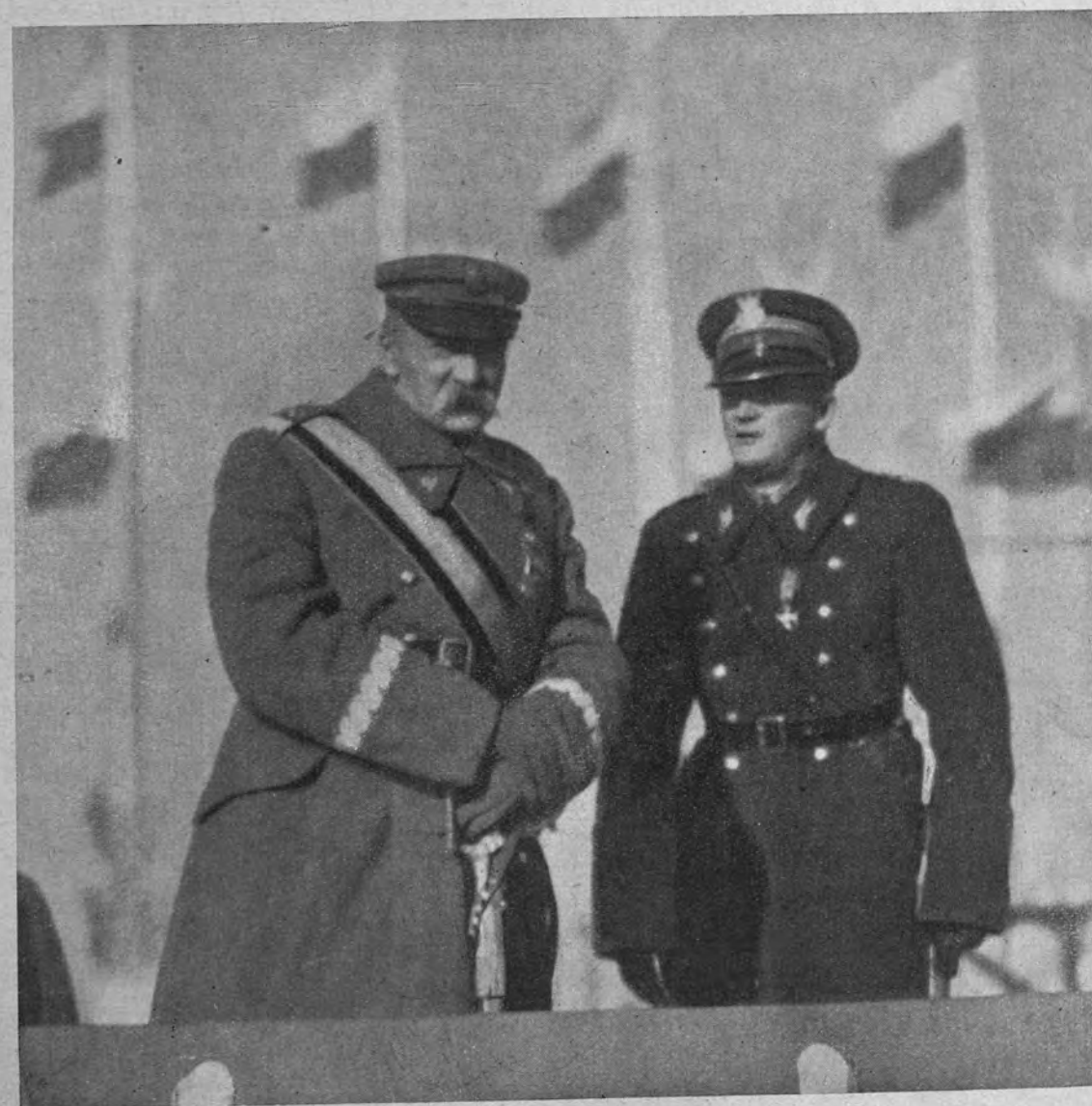
Stosownie do zapowiedzi Redakcja „Podchorążego” przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. Nr. 1, 2 i 3-cim:

- a) w wysokości 5 zł.:
  - 1) Flisiak (za zdjęcie „na punkcie obserwacyjnym”),
  - 2) Zacharjasiewicz („już w mundurach”),
  - 3) Pankiewicz („poranna gimnastyka”),
  - 4) Łysak („budujemy mosty”).
- b) w wysokości 3 zł.:
  - 1) Bielenica („pierwsze godziny w wojsku”).
- c) w wysokości 2 zł.:
  - 1) Podsiadło („na Sowińcu”),
  - 2) Eisenbrun („Oj! bo może kopnąć”).

# PODCHORAŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORAŻYCH

NR. 4 (77)  
15 LISTO-  
PADA  
1935 R.  
ROK V



11 listopada 1934 r.

## NA DZIEŃ 11 LISTOPADA

11 listopada.

Święto Niepodległości. Święto radosnych i wielkich wspomnień. Dzień w którym cała Polska od sinych fal Bałtyku po szczyty Tatr łączy się, by je święcić, by uczcić pamięć i zasługi tych, którym wolność zawdzięcza, by uczcić pamięć tych tysięcy padłych ofiarnie na polu chwały...

11 listopada. Dzień podniosły... dzień wspomnień... Lecz w tym roku inny... Niema w sobie tej radości i wesela, co w latach dawniejszych. Kir żałoby spowił serca Polaków, jak mgła jesienna i krwią zalał polską ziemię. Nie ujrzy oko Polaka błękitno-stalowego leguńskiego munduru Ukochanego Wodza... Nadarmo, napróżno wypatrywać będzie w tym dniu Jego pracę i trudem nadludzkim pochylonej postaci, na daleko przed innemi wysuniętej trybunie honorowej... Nadarmo będzie szukało tej Ukochanej postaci!

Niema Marszałka! Niema Go już między nami... Odszedł nie z własnej woli. Przystało z woli Boga bić to wielkie serce, które przez całe swe życie biło tylko dla Polski. Zostawił nas sierotami, odszedł Ojciec Narodu, odszedł Wódz Ukochany.

11 listopada. Niema Cię Wodzu wśród nas, Niema Cię, a jednak jesteś! Odszedłeś, a jednak żyjesz wśród nas! Żyje Twój duch w Narodzie, żyjesz w sercach naszych.

Dziś w dniu 11 listopada myśli nasze i serca, jak codzień są tam w Krakowie przy Tobie!.. Chodzi Twój Duch wśród nas po tej ziemi polskiej, którą kochał ponad wszystko, chodzi Twój Duch-

Opiekun, Twój Duch-Przewodnik, Twój Duch-Natchnienie...

Dziś Wodzu, gdy zewsząd, od bursztynowego brzegu Bałtyku, od błot pińskich, od śląskich kominów, od szczytów Karpat płyną dowody czem byłeś dla Polski, czem byłeś i jesteś dla tych, którym Wolność wywalczyłeś, to do nich przyłączają się nasze młode gorące serca żołnierskie. Płynie z ich głębi uroczysta przysięga, że gdy na nie przyjdzie czas to i one pójdą służyć w imię Twych wskazań, tak jak służyli pod Tobą nasi ojcowie i starsi bracia. Pójdziemy w Twe Imię, czy w bój po zwycięstwo, czy też na ofiarną, ciężką pracę dla Polski.

Tyś w serca nasze Wodzu głęboko wzrósł... Stałeś się jasnym zniczem, który wskazuje nam drogę i cel. Jesteś naszym Przewodnikiem w walce i pracy.

Ślubujemy Tobie dzisiaj Wodzu szara podchorążacka brać za wzorem Twych legunów, że:

„Żadna nas siła zdradziecka  
ni zniszczyć nie zdoła ni zgnieść.“

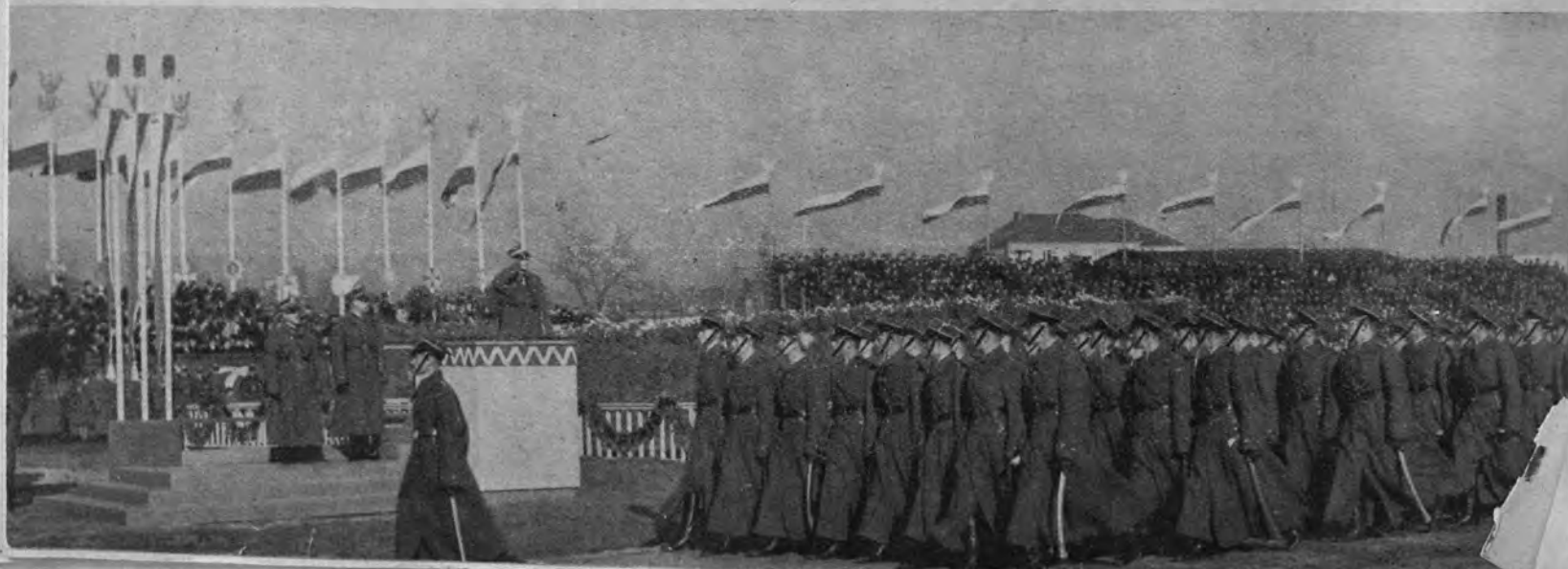
Ślubujemy Tobie Wodzu, że wszystkie swe siły poświęci dla dobra Polski, starając się iść w Twe ślady Twego ofiarnego, pracowitego i pełnego poświęceń życia. Przysięgamy Ci Wodzu, że będziemy godnymi miana Polaków, bo:

„W obronie Twych przykazań  
Nawet chętnie życie damy!

Zambrów.

Strz. z cenz. Kazimierz Zieleziński.

Nowomianowani podporucznicy defilują w dniu 11 listopada 1935 r. przed Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych



## „17 LAT NIEPODLEGŁOŚCI”

Święto państwowe! Miarowy równy krok w takt orkiestr defilujących oddziałów mocno i twardo wybija słowa o sile i potędze Rzeczypospolitej.

Przypominają się wysiłki i prace młodego państwa, które wyrobiły mu należne miejsce w rodzinie narodów, świadcząc o żywotności i sile twórczej polskiego ducha.

I zaraz żywiej biją serca polskie, bo czują, że to święto radości i dumy narodowej.

I tylko czarnym cieniem pada na promienność dnia tego świadomość, że pierwsze to Święto Niepodległości obchodzone bez Tego, co bramy do wolności i potęgi otworzył, że siwe oczy Wodza nie obejmą na Mokotowskim polu twardem jak stal, a tak ciepłym spojrzeniem wiernych szeregów żołnierskich.

Więc tem silniej marszczą się czoła od nawału myśli, szukających sposobów wytrwania na wytyczonym przez Marszałka J. Piłsudskiego szlaku mocarstwowym, tem silniej krzepnie wola w postanowieniu wypełnienia Jego testamentu.

Wódz bowiem nas opuścił, lecz odszedł uwieczony laurem nieśmiertelności, bo imię Jego—Wielkość, i zostawił nam dziedzictwo Swej myśli i czynu.

Proste ono, a głębokie, tak jak prostem a głębokiem było życie Budowniczego Polski odrodzonej: dbanie o honor i potęgę państwa.

Najlepszy sposób realizowania tego kardynalnego obowiązku obywatela zawarty jest w haśle: państwo buduje się pracą, a broni krwią; krew i trud są największą świętością narodu, a człowiek pracy i żołnierz awangardą jego wielkości.

Trzeba nam więc tworzyć potęgę państwa pracą powszednią, szarą i cichą a dokładną, trzeba ją uwa-



Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjął na Zamku w dniu 11 b. m. nowomianowanych podporuczników wszystkich broni

bie, że ze względu na niekorzystne położenie geopolityczne państwa obronę jego stanowią właściwie piersi i umiejętności wojskowe obywateli i dlatego winniśmy się starać o to, by armja polska mająca piękne tradycje rycerskie Polski przedrozbiorowej, odrodzona w legjonowych bojach pod wodzą Tego, co ją do życia napowrót powołał zawsze była na najwyższym poziomie.

Kiedy w dniu 11-go listopada pochyła się sztandary, kiedy zabrzmia okrzyki na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Jej Dostojnego Włodarza niech złączą się one z postanowieniem zgodnej wszystkich obywateli pracy dla państwa i stania ciągle na straży jego całości i niepodległości, a konsekwentne wypełnianie tego postanowienia niech stanie się powszechną formą uczczenia 17-tej rocznicy niepodległości.

A wtedy Duch Marszałka, widząc z wawelskiego wzgórze, że odrodzone państwo polskie żwawym krokiem posuwa się w marszu ku wielkiej i świetlanej przyszłości — spokojnie wśród królów spoczywać będzie

Skierniewice

strz. z cenz. J. L. Wolek

Dzień 29 listopada obchodzimy jako „ŚWIĘTO PODCHORAŻYCH”

## PAMIĘCI BOHATERA

Na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie, złożono szczątki Aleksandra Sulkiwicza, który 19 lat temu padł na polu chwały, do ostatniego tchnienia, jako najwierniejszy z wiernych, służąc idei odbudowania Polski. Przez 30 lat niestrudzenie dla tej idei pracował, poświęcając jej całego siebie bez reszty i bez wahań. W nagrodę za ogrom poświęcenia i pracy, który trudno myślał objąć, nie danem mu było dożyć radosnego dnia zmartwychwstania ukochanej Ojczyzny, ale dana mu była śmierć najpiękniejsza, i sława jednego z najlepszych Jej synów.

Aleksander Sulkiwicz, Hózman Mirza, urodził się 8 grudnia 1867 w miejscowości Skiersobole w Suwalszczyźnie, jako potomek od wieków w Polsce osiadłej i spolszczonej rodziny tatarskiej, która dała swej przybranej ojczyźnie wielu dzielnych rycerzy od czasów Sobieskiego aż po powstanie kościuszkowskie.

Jak inni późniejsi bojownicy sprawy niepodległości, od najmłodszej młodości wzrastał Sulkiwicz w atmosferze żywych tradycji powstania styczniowego, już jako uczeń szkoły średniej w Suwałkach, odznaczał się gorącym patriotyzmem i już wtedy dał się poznać jako niepospolicie uzdolniony organizator i konspirator. To też po kilkuletniej pracy w szeregach zrazu kółek młodzieży, a następnie w organizacji „Proletariatu”, wysłany został jako delegat na zjazd do Paryża w roku 1892. W ten sposób stał się jednym z założycieli Polskiej Partii Socjalistycznej i jej niepodległościowego programu, obok tej miary działaczy, jak Bolesław Limanowski, Witold Jodko, Stanisław Wojciechowski i inni.

Już w tym czasie towarzysz Michał (bo taki był najczęściej używany z wielu jego pseudonimów konspiracyjnych), spełniał w akcji budzenia świadomości socjalnej i politycznej wśród robotniczych w Polsce, zdawałoby się podrzędną, a jednak niezwykle doniosłą rolę.

Mianowicie, otrzymawszy głównie dzięki swemu

mahometańskiemu wyznaniu, posadę urzędnika komory celnej w Wierzbołowie, na tej okoliczności oparł swój plan służenia sprawie rewolucyjnej. Postanowił zorganizować stały przemysł nielegalnej bibuły do kraju. Plan swój niezwłocznie zrealizował i odtąd przez 10 lat „szwarcował” przez granicę nie tylko bibułę ale nawet ludzi i drukarnie.

Mawiał nieraz do towarzyszy: „Jeżeli chcecie mogę wam i fortepian przeszwarcować”. I wszyscy, którzy znali jego iście tatarski spryt, odwagę i ostrożność, wiedzieli że nie są

to czcze słowa. Bibułę posyłaną z Londynu do Lipska, a stąd do miejscowości nad samą granicą, zabierał stamtąd osobiście i przez nikogo jako urzędnik celny nie zaczepiany, prznosił albo przewoził ją przez granicę i trzymał w składach przez siebie zorganizowanych do czasu zabrania jej od niego przez kurjerów.

Miałem obejściem, i zaletami swego prawego charakteru i wreszcie sprytnym postępowaniem tak potrafił jednać sobie ludzi, że w szeregach swych pomocników miał nawet żonę naczelnika urzędu celnego w którym pracował i w jej mieszkaniu przez długi czas magazynował bibułę, a nierzadko zdarzało się że pokazne ładunki tego niebezpiecznego towaru wędrowały po kraju pod siedzeniem powozu pana naczelnika.

W ten sposób stał się Sulkiwicz jednym z głównych działaczy P.P.S.-u i jako taki zbliżył się i zaprzyjaźnił z „towarzyszem Ziukiem” — Józefem Piłsudskim. Nic tedy dziwnego, że ilekroć chodziło o jakieś specjalnie ryzykowne przedsięwzięcie, nie kogo innego tylko „Michała” wybierał Piłsudski do jego wykonania. Tak więc, kiedy w roku 1894 potrzeba wydania w kraju nielegalnego pisma kazała kierownikom partii myśleć o założeniu tajnej drukarni, Sulkiwicz był pośrednikiem pomiędzy Piłsudskim a zagranicą, prowadzącym pertraktacje w sprawie kupna maszyny drukarskiej i on był tym, który maszynę przewiózł przez granicę. Nic tedy też



Aleksander Sulkiwicz

dziwnego, że jemu powierzono kierownictwo „techniki” partyjnej, i że w następnych latach znalazł się w liczbie członków Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S. obok Piłsudskiego i Wojciechowskiego.

Kiedy na skutek zachodzącej obawy „wsypy” musiał Sulkiwicz opuścić posadę na komorze celnej, okazało się, że na każdej innej placówce pracy jest również nieocenionym, zawsze gotowym na wszystko i niezmordowanym. Właśnie wtedy w 1900 r. w nocy z 21 na 22 lutego, policja rosyjska wykryła drukarnię „Robotnika” w Łodzi, aresztując przytem Józefa Piłsudskiego z żoną i Aleksandra Malinowskiego.

Sulkiwicz, który wówczas był w Wilnie, cudem tylko uniknął aresztowania, bowiem miał właśnie zamiar udać się do Łodzi, miał już nawet bilet kolejowy, i ostrzeżony został w ostatniej chwili. W tej krytycznej dla partii chwili, Sulkiwicz stanął na jej czele i przede wszystkim przystąpił do zorganizowania nowej drukarni, tak że już w kilka miesięcy później „Robotnik” nadal wychodzi w kraju, doprowadzając do wściekłości bezsilną policję rosyjską.

Nie opuszczając rąk wobec nieszczęścia, jakim było uwięzienie kierownika a zarazem duszy partii—Józefa Piłsudskiego, powziął Sulkiwicz myśl zorganizowania jego ucieczki, myśl tak zuchwałą na pozór, że towarzysze nazywali ją szaleństwem. Ale dla Sulkiwicza nie było niemożliwości, dopóki nie zrobił wszystkiego co było w ludzkiej mocy dla jej wykonania.

Przedewszystkiem tak długo zabiegał, aż uzyskał ze Piłsudskiego, symulującego obłąkanie, prze-

Generalny Insp. Sił Zbrojnych gen. E. Rydz Śmigły dekoruje Krzyżem Virtuti Militari trumnę z prochami A. Sulkiwicza



Pogrzeb Sulkiwicza w 1916 roku, w obecności Szefa Sztabu I-ej Brygady K. Sosnkowskiego

niesiono do szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, celem dokładnego zbadania. W ślad za więźniem podążył Michał do Petersburga, aby tam na miejscu czuwać nad dalszym wykonaniem planu.

Na jego rozkaz, towarzysz z P.P.S. dr. Władysław Mazurkiewicz postarał się o posadę w szpitalu, sam więzień obmyślił dokładnie wszystkie szczegóły ucieczki, a Sulkiwicz przygotował wszystkie jej warunki.

W czasie jednego ze swych nocnych dyżurów, dr. Mazurkiewicz wyprowadził przebranego więźnia na ulicę.

Sulkiwicz w tym czasie stał na czatach z towarzyszem Demidowiczem aby w razie potrzeby wstrzymać pościg ogniem rewolwerowym, ryzykując oczywiście życie, ale zwiększając przez to szanse powodzenia akcji.

Na szczęście do takiej ostateczności nie doszło. Niezwłocznie wywiózł Sulkiwicz zbiega do zaboru austriackiego do Lwowa, i w ten sposób szaleństwo i nie-

możliwość, stały się rzeczywistością.

W następnych latach, przebywał Sulkiwicz najczęściej w Kijowie, gdzie mieściła się drukarnia „Robotnika”, a nadto jako „technik” i „rozjazdowicz” z ramienia C.K.R., ciągle niemal w pociągu, mimo nieszczęśliwego stanu zdrowia, objeżdżał kraj cały i organizacyjne placówki w Rosji, dostarczając bibułę, przywożąc instrukcje, zabierając korespondencję i sprawozdania o stanie roboty.

Nadszedł czas rewolucji, 1905 rok. Niezmordowany towarzysz Michał, dwoi się teraz i troi. Jak dawniej bibułę, tak teraz przewozi broń i materiały wybuchowe. Z powodu pogarszającego się

stanu zdrowia, przebywa teraz najczęściej w Krakowie i Zakopanem, ale to nie przeszkadza mu w ciągłych wycieczkach do zaboru rosyjskiego.

Gdy przyszedł rozłam w partji, Sulkiwicz znalazł się tam gdzie kazała mu iść jego niczem niezachwiana, umiłowana idea niepodległości Polski, która była mu wszystkim w życiu, i tam gdzie, znalazł się jego wódz, towarzysz i przyjaciel — Józef Piłsudski. W szeregach „Frakcji Rewolucyjnej“ a potem w „organizacji bojowej“ był znowu jednym z czołowych przywódców ruchu, wykładał w szkołach organizacji bojowej, brał udział w akcjach, wreszcie po upadku rewolucji, wraz z innymi znalazł się na emigracji w b. Galicji.

Ponieważ Sulkiwicza nie mogło zabraknąć tam, gdzie działo się coś, co miało związek z pracą dla wcielenia w życie idei odbudowy państwowości polskiej, gdy powstał Związek Walki Czynnej Sulkiwicz jako jeden z pierwszych stanął w jego szeregach. Jako emisariusz Z. W. C. a potem Związku Strzeleckiego, a przytem jako jeden z najlepszych znawców stosunków w b. zaborze rosyjskim, objął nadzór nad jednostkami organizacyjnymi w Królestwie i jak dawniej, znowu jeździ z korespondencją, z instrukcjami, nawiązując łączność placówek z Komendą Główną i organizując nowe.

W tym czasie też we wszystkich większych miastach Królestwa, zakładał Koła Polskiego Skarbu Wojskowego, kładąc nacisk na wagę tej akcji, która dzięki jego pracy znacznie zasilala kasę organizacji wojskowych.

Przyszedł ostatni etap tego bohaterskiego żywota, wojna światowa. Sulkiwicz doczekał się spełnienia najgorętszych swych marzeń z czasu tyloletniej podziemnej walki z caratem, — można było wreszcie stanąć do walki otwartej w szeregach wojska polskiego.

Ale i teraz jeszcze musiał czekać. Potrzebny był na innej placówce. Jako komisarz cywilny wojsk polskich, następnie jako komisarz Polskiej Organizacji Narodowej, wysłany do Królestwa, prowadził tam akcję werbunkową i agitacyjną, kilkakrotnie przekradając się przez front celem nawiązania kontaktu z działającą na tyłach wojsk rosyjskich — Polską Organizacją Wojskową.

W kwietniu 1915 r., w czasie swego pobytu w Warszawie, prowizorycznie pełnił funkcje zastępcy Komendanta P. O. W. Tadeusza Żulińskiego. Ta jego funkcja uzupełnia najpiękniejszy przebieg służby niepodległościowej żołnierza-konspiratora, który we wszystkich organizacjach głoszących walkę z najeźdźcą, nietylko pracował ze wszystkich sił, ale pracował na stanowiskach kierowniczych.

Kiedy po wkroczeniu Niemców do Warszawy został przez nich aresztowany za działalność wśród robotników i jako niepożądany wydalony został na teren b. zaboru austriackiego, nic już nie stało na przeszkodzie jego wstąpieniu do Legionów.

Zgłosił się do służby linjowej jako prosty żołnierz. Pomimo usilnych próśb i starań, ze względu na podeszły wiek i nietęgę zdrowie, przydzielono go w randze sierżanta do prowiantury. Ale niedługo tu zabawił. Póty chodził, prosił i zabiegał aż uzyskał, że przeniesiono go do linii.

3-go maja 1916 roku rozpoczął służbę prostego żołnierza w kompanji ppor. Styka, (Wacława Stachiewicza) w 5-tym pułku L. P. 50-cio letni prawie obywatel Michał w plutonie młodziutkich chłopaków harcerzy, do którego został przydzielony, przyjęty został odrazu z najwyższym entuzjazmem. Osobisty przyjaciel samego Komendanta, żołnierz, którego odwiedzają w ziemiance kapitanowie, majorowie i nawet jeszcze większe szarże — toż to splendor nielada! Zaczem zaczęło się wyprzedzanie w drobnych usługach, a potem po bitwach pod Kołodją i Kostjuchnowką, kiedy w najcięższych chwilach wykazał najwyższe męstwo i pogardę śmierci, zaczął się szczerzy szacunek i podziw wśród kolegów.

Sulkiwicz nietylko jednal sobie serca ludzkie, ale sam też szczerze się do ludzi przywiązywał. To też gdy naskutek „machinacy“ przeniesionych, odkomenderowany został do komendy pułku, aby nie był narażony na forsowne marsze i na wszystkie udreki życia okopowego, Sulkiwicz codziennie swój pluton odwiedzał, codziennie opowiadał swym chłopakom dzieje podziemnych walk, towarzyszył im na najryzykowniejszych patrolach.

W czasie jednej z takich wypraw, 18 września pod Wólką Sitowicką w powiecie kowelskim, w chwili gdy śpieszył z pomocą ciężko rannemu koledze Adamowi Kocowi, zginął trafiony kulą karabinową w samo serce.

Na polach Wołynia, spoczął w cichej, żołnierskiej mogile żegnany przez towarzyszy broni salwą i dźwiękami szopenowskiego marsza.

Obecnie wrócił do stolicy Polski, zawsze żywy w pamięci nietylko towarzyszy walk o jej niepodległość, ale i w pamięci całego narodu, któremu cały jego żywot jest jednym najwznioślejszym przykładem nieustępliwości w walce, wytrwałości w pracy największego umiłowania Ojczyzny i ideału.

Władysław Brzozowski.

## M A M K A R A B I N . . .

PRÓBA IMPRESJI

Otrzymałem go niedawno...

Pachnący wazeliną, lepki od niej — przyłgnął do mej dłoni i boku, niczem nieodłączny towarzysz.

Delikatny naskórek wyczuwa jego kształt, rozumie przeznaczenie — cel — który końcówkami nerwów biegnie w mózg — rodzi, myśl o tem, że:

Mam karabin...

I przychodzą wspomnienia — refleksje.

Jestem małym jeszcze chłopczykiem, w krótkich spodenkach — w kołnierzu marynarskim.

Gdzieś przez częstochowskie aleje idą żołnierze, ci nasi kochani chłopcy, przybyli gdzieś z dalekich stron — huczących niedawną wojną.

Idą krokiem jednego człowieka...

Granit kostek bruku bije równym rytmem, tnie echem przyległych kamienic, rozwija tempo stu nóg na takt idących olbrzymów.

Idą krokiem jednego człowieka...

Muszą mieć jeden oddech i jedno serce — jedną myśl o tem potężnym drganiu własnych mięśni i własnych ruchów.

A mały chłopczyk stoi i... słucha.

Czy myśli to — co teraz — niewiem. Wiem jedno, że i oni mieli karabiny błyszczące, idące w niebo strzelistym ruchem rakietowych wozów, równoległych linii...

Te trwogą i szacunkiem namazane, te dumnie wzniesione w niebo

karabiny... karabiny...

Te marzenia dziecięcego serca, wyczuwającego podświadomie istotę i sens broni.

Te niedoścignione myśli, rwące się w głąb czwórek — w rachubę kroków, w triumfalny marsz zorganizowanych ludzi.

Wdzierające się w prostokąty uformowanych kolum, niczem w szpalty pisma... moje myśli...

Chcę mieć karabin!

Chcę osiąść ten niezbadany oddech młodych ptuc — rytm — ruch jednolity — jednolitą grę na wielu nóg i serc!

Stoję w szeregu przed stołem obdartym z ozdoby — z jego krótkotrwałej dumy.

Mam karabin!

Czuję jego stal — a myśl idzie w nieznane serce broni — zamek — błyszczący pod cienką warstwą złota wazeliny.

Mam karabin!

Stoję w zwartej kolumnie i czuję, że jestem teraz żołnierzem.

I znowu przychodzi na myśl sylwetka tego chłopczyka, który przy choince dostał od wuja legjonisty książeczkę w brązowo-purpurowej okładce ze złotym napisem: „Dzieciom Polskim na gwiazdkę“.

I dedykacja:

Kaziowi — Mietek  
24.XII.25 r.

W tym karabinie święta moc,  
W nim śmierć jest i — potęga“.

Dziwnie jakoś puka w piersi serce — serce żołnierza, widzianego w snach dawnych, dalekich — zmaterializowanych przy dotknięciu kbk. Nr. 45646.

Mam karabin...

Powoli, jak dziecko kolory, tak ja poznaję go... Narazie znam go powierzchownie. Potem czyszczę już lufę i stopkę. Wreszcie znam swój kbk. wspaniale! (tak! — już wspaniale). Wiem co to jest iglica, trzon, bezpiecznik, kurek, gdzie jest pazur, komora zamkowa, i t. d. i t. d.

Mam karabin...

I wierzę w jego nieprzeparte piękno, w tę niewystowioną, lecz odczuwaną jedność żołnierza i karabinu.

I jestem dumny z samego posiadania, z funkcji obywatela-żołnierza.

I czuję w sobie siłę gromady, siłę tych ludzi, co wspólnie zemną pracują, co stoją ramie przy ramieniu.

W codziennym trudzie i odpowiedzialności, kształtuję nieforemną psyche, urabiam w sobie nowego, lepszego człowieka.

Jestem na właściwym posterunku życia.

Mam kbk. Nr. 45646.

strzel. z cen. K. DUSZYŃSKI

D.K.P.R. Skierniewice

## „W MOGILE CIEMNEJ ŚPIJ KOLEGO”...

...Na parę tygodni przed dniem Wszystkich Świętych dowódca 4-tej kompanji kpt. Kuśmidrowicz powiadomił nas, że istnieje zwyczaj w Róśanach, utrwalony kilkuletnią tradycją porządkowania i zdobienia grobów poległych z czasów Wielkiej Wojny przez podchorążych I baonu S. P. P. W pobliżu bozium Róśan znajduje się kilkaset mogił wojennych niemieckich i rosyjskich, rozrzuconych na trzech cmentarzyskach. Obok największego wznosi się stylowa, drewniana kapliczka. Myśl rzucona przez p. kpt. znalazła pełne zrozumienie u wszystkich. Z dobrowolnych składek całego baonu powstał pokaźny fundusz na zakup lampek nagrobkowych. Lopatki i ręce podchorążackie w krótkim czasie doprowadziły do porządku zaniedbane cmentarze. Obłożone darnią i posypane żółtym piaskiem groby zupełnie inny teraz przedstawiały widok.

Dzień pierwszego listopada, dzień poświęcony pamięci wszystkich zmarłych wyjątkowo w tym roku zaznaczył się piękną, słoneczną pogodą. Nadchodził zmierzch, przepojony czerwienią zachodzącego słońca. Na podwórzu koszarowym w karnym orydku stanęły cztery kompanje S. P. P., gotowe do wymarszu. Pośród zupełnej już prawie ciemności, w srebrzystej poświacie wschodzącego księżyca krąg młodych twarzy otoczył największy z cmentarzy, wznoszącą się nad nim kapliczkę. Wkrótce przestrzeń przed nami zaczęła pokrywać się szeregami i krzyżami światelek, zrazu nikłymi, potem cała płaszczyzna grobów rozgorzała dziesiątkami lampek, których odblask wspaniale uwydatniał wysokopienny, milczący i zadumany las starodawny. Ponad grobami rozciągnął ramiona wysoki, krwawo-czerwony krzyż kapliczki, zarówno nad mogilami niemieckich grenadierów, jak i rosyjskich żołdatów. Zaznaczone nazwiskiem czy też bezimienne mogiły Nieznanego Żołnierza; wrogie narodowości, spoczywające obok siebie w bratniej zgodzie, cały cmentarz znieruchomiał, obłókł się w świąteczną powagę. Wszak święci dziś swe wielkie, doroczne święto. — Święto bohaterstwa, poświęcenia i ofiary krwi. W po-

wietrze przejmująca, głęboka cisza. Na nieboskłonnie błyszczą srebreny sierp księżyca. Podaję słowa komendy: „Czapki zdejm—baczność!” Chwila ciszy, skupienia i powagi. Milczący hold złożony pamięci tych, co ginęli za sprawę, wierni twym przekonaniom i ideałom. Na tle krzyża wyrasta biała sylwetka ks. kapłana. Podają proste, jasne, a głębokie w treści słowa. Mówi o tych tysiącach westchnień cichych i szeptów modlitewnych, które w dniu święta zmarłych płyną przed tron Pana Zastępów, o mogiłach kurhanach polskich bojowników, rozsianych po całym świecie od San Domingo po Samo-Sierry wawozy. Największa ofiara tych rycerzy, którzy w bój szli z ryngrafem na piersi, a ze słowami „Jezus, Marja, Polska“ na ustach — ofiara złożona z życia własnego nie poszła na marne. Niekończąca się hekatomba istnień ludzkich okupiła nam ostatecznie byt niepodległy, o który tak wielu walczyło. „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj Im wieczne spoczywanie“... — brzmia ostatnie ściszone słowa księdza. Pośród ogólnie panującego bezruchu płyną żałobne tony pieśni, przepojonej jednak jakąś iskrą nadziei — na przyszłość: „W mogile ciemnej śpij kolego“... Młodzieńczych głosów echo niesie pieśń daleko, szeroko „gdzieś, aż do niebios progę“. Z zamierających, ostatnich dźwięków rodzi się nowa pieśń. Z daleka, z głębi tajemniczej lasu wznoszą się srebrzyste głosy trąbek. Grają uroczystą fanfarę zmarłym, ostatnią fanfarę na defiladę cieni tych, co odeszli z bojowym dymem w nieskończoność bytu. Tętony drgają, cichną, dochodzą wkońcu do pianissima i... milkną. W tym momencie księżyc zachodzi lekką mgłą. Ogniki lampek chyboczą i pochylają się w pokłon. Na wzniesieniu płonie rubinowy Znak.

W drodze powrotnej do koszar towarzyszy nam łagodna poświata gasnących powoli lampek; na skraju lasu, na tle wysmukłych sosen, ponad żołnierskim grobowcem migotliwym, czerwonym światłem znaczy się krzyż — symbol męki, ofiary i zwycięstwa.

S. P. P.—Róśan. strz. podchor. ST. MARCINKOWSKI

### REFLEKSJE „REKRUTA Z CENZUSEM“

Jesienne słońce z za chmur się uśmiecha  
Jak czyjeś oczy kochane głębokie  
Od których jeszcze płyną wspomnień echa  
Owiane smętkiem a czaru urokiem.

Purpura, fiolet na astrach się pali,  
Przynosząc refleks radości i smutku —  
A my nieczuli — „żołnierze ze stali“  
Żegnamy lato — słońce pocichutku...

Kraków

Głowacz Dominik.

## WAWRZYN I LIŚCIE BOBKOWE

Nie chyba tak nie przysporzyło popularności naszej Akademji Literatury, (zwanej PAL-em w brzmącym z artyleryjska skrócie), jak sprawa t. zw. „wawrzynu akademickiego“. Po ogłoszeniu w ostatnich dniach niemale, gdyż zawierającej aż kilkaset nazwisk listy szczęśliwych wybrańców, wyróżnionych spośród tysięcy kandydatów, zawrzało w naszym świecie artystycznym i kulturalnym. Zjawisko podobnego poruszenia jest samo przez się najzupełniej naturalne i nie powinno wywoływać zdziwienia i niepokoju. Wystarczy sobie tylko przypomnieć huczek a niekiedy i zgrzytanie zębów panujące bezpośrednio po stworzeniu Polskiej Akademji Literatury. Ile się tam starło ambicji i talentów, osobistych zawiści i artystyczno-ideowych rozgrywek.

W Akademji Literatury nie znaleźli się wszyscy, których do osiągnięcia tej wysokiej godności winny były wynieść niepowszednie zasługi i osiągnięcia na polu pracy literackiej. Cały szereg doskonałych pisarzy znalazł się poza zamkniętym gronem akademików, mogąc się pocieszać tem jedynie, że podobny los spotkał niejednego z najwybitniejszych kolegów po piórze.

Naturalną koleją rzeczy niektórzy z nieprzyjętych a srodze rozgniewanych literatów dawali upust swemu rozczarowaniu w podważaniu zasad bytu i racji istnienia samej instytucji, zwącej się poważnie Polską Akademją Literatury. Najgłośniej krzyczeli ci, którzy w skrytości ducha najgoręcej marzyli o zaszczytnych palmach akademickich. I temu zjawisku nie należy się zbyt dziwić. Dlaczegoż bowiem sądzić, że artysta musi być człowiekiem apriorystycznie wypranym z wszelkich osobistych ambicji, niezdolnym do uczuć pragnienia, zawiści, czy pożądania?...

Przypomnijmy sobie tylko starszą siostrzycę PAL — Akademję Francuską. Ileż wokoło niej krąży rozkosznych legend, niosących echa tysięcznych intryg i podstępów, zażartych walk i zdradziec-

kich napaści, których ostatecznym celem i łupem miał się stać wyszydany i upragniony zarazem historyczny „zielony frak“.

Nasza Akademia nie osiągnęła jeszcze poziomu francuskiego pierwowzoru, aczkolwiek nie jest to znowu tak bardzo niemożliwe za lat — powiedzmy — trzysta... Mowa tu, naturalnie, o poziomie rzeczowo-artystycznym, gdyż w zakresie intryganczkiej gadaniny zdaje się, że już niedługo będziemy mogli nietylko dorównać, ale i zakasować nieśmiertelny wynalazek znakomitego kardynała Richelieu.

Przykład Francji uczy nas, że ci co najwięcej gardłowali na samą instytucję Akademji byli potem — gdy się dostali w jej progi — największymi entuzjastami wyśmiewanej ongiś akademickości. Trudno tu nie wspomnieć o jednym z najweselszych francuskich akademików, znakomitym autorze satyrycznego „Zielonego fraka“ — de Fleurs'ie, dzisiaj noszącego dumnie autentyczny zielony frak akademicki. U nas rolę niezrównanego wykpisza rodzimej Akademji wziął na siebie Boy. Jego niezrównane uwagi o naszych nieśmiertelnych i o samej pełnej namaszczonej powagi instytucji godne są wydania jej sump-tem na osłej skórze i „pod znakiem PAL“. Wrogowie Akademji, a raczej osobniki notorycznie się na nią dąsające, powtarzają nie bez złośliwego



Marsz jesienny

fol. Nuszowski

zachwytu jeden z aforyzmów Boya-Mędrca, twierdzący, że już sama możność robienia dobrych dowcipów o naszej Akademji jest wystarczającą, a kto wie: może i jedyną racją istnienia tej szanownej instytucji... Kawał — trzeba obiektywnie przyznać — pierwszorzędnym, aczkolwiek odrobinę w swej złośliwości przeholowany. Ale nie zapominajmy, że od kawału wymagamy nie sprawiedliwości, lecz — dowcipu...

Nie może się Akademia uskarżać na brak dowcipów robionych na jej conto. Jest ich coniemniara, i to stojących na różnych poziomach: od istic sub-

telnej zjadliwości Boya do zgoła już prostackich i ordynarnych zaczeppek. Wdzięcznych tematów — trzeba przyznać — dostarczają nieświadomie lecz skwapliwie liczni spośród samych Akademików.

Obecnie, jak już wspomnieliśmy na wstępie, rozpetała się wokół Akademji istna burza; leją się z artystycznych niebiosów strugi niewybrednych wymysłów, huczą ciężkie gromy napaści „opinji publicznej“, zda się, że wszyscy drżą w gwałtowno-paroksyzmach „zielonej febry“ („fièvre verte“, która kiedyś tak animowała młodego Balzaca, ubiegającego się, (i to aż do zgonu bezskutecznie), o wejście do Akademji.

Ani się pewnie akademicy spodziewali, jaka burza w szklance literackiej czarnej kawy powstanie wokół „wawrzynu akademickiego“. Cóż to za wyróżnienie, które tak namiętnie poruszyło nasz niemrawy zazwyczaj światek kulturalny?

Oddajmy tu głos członkowi najbardziej kompetentnemu, niezmordowanemu sekretarzowi generalnemu Akademji — J. Kaden - Bandrowskiemu: „...Praca nad listą Wawrzynu Akademickiego, to przecież praca nie tylko nad wyborem najwybitniejszych talentów z zakresu literatury współczesnej, lecz równocześnie powołanie do twórczej łączności i najwybitniejszych artystów z innych dziedzin sztuki (plastyka, muzyka, rzeźba, architektura) wreszcie połączenie zasługi ściśle pisarskiej z temi dziedzinami życia narodowego, w których mowa jest kapitalnym środkiem danego zawodu.

Dzięki takiemu ujęciu odznaki Wawrzynu, znaleźli w jednym szeregu z zasłużonymi pisarzami najznakomitsi mówcy parlamentarni, najświetniejsi mówcy palestry i sądownictwa, zasłużeni działacze w zakresie szerzenia zamilowania do pisanego i mówionego słowa...“ Wśród odznaczonych, mówi dalej Kaden „spotykamy... tak zwanych szarych lecz śnieżnych ludzi niezmordowanej pracy w odległych kątach kraju dla sprawy kultury“.

W świetle słów sekretarza Akademji stają się zrozumiałe wytyczne, jakimi kierowano się przy układaniu listy odznaczonych wawrzynem. Dla informacji musimy wyjaśnić, że „wawrzyn“ nie jest tu pojęty czysto symbolicznie; jest to jeszcze jeden normalny order, „noszony na biało-zielonej wstędze“. (Czy aby ta zielen wawrzynu to nie podświadoma tęstknota do czarującego zielonego fraka?)

Jak dotąd wszystko zdawałoby się w porządku. Artysci, którzy naskutek statutowego ograniczenia ilości członków Akademji (najprostsze acz niezawsze słuszne wyjaśnienie) znaleźli się poza

jej nawiasem dziś będą mogli otrzymać pełne wynagrodzenie za „straty i ból moralny“, wieńcząc swą pierś oficjalnym „wawrzynem akademickim“. Poza licznym gronem literatów wyróżni się wszystkich pracowników kulturalnych, tych — tak dzisiaj modnych — „szarych ludzi“; nie zabraknie też naturalnie znakomitych krasomówców, plastyków, rzeźbiarzy i t. d.

Zamierzenia bardzo piękne, a skutek?

I tutaj, niestety, wyznać trzeba nie bez smutku, że Akademia w nazbyt wielu wypadkach nie stanęła na wysokości zadania, a wyróżnieni przez nią kandydaci stanowią bardzo oryginalny pod wieloma względami zespół. Ten ostatni względ najmniej nas zresztą martwi. Zawsze bowiem można się pocieszyć, że ci ludzie nieznani nam bezpośrednio ani z nazwiska, ani z twórczości literackiej, ani wreszcie z dość nieokreślonego pojęcia „działalności kulturalnej“ to będą ci szarzy pracownicy, „ludzie — jakby powiedział Kaden — niezmordowanej pracy w odległych kątach kraju dla sprawy kultury“.

Gorzej natomiast, że wśród odznaczonych nie znajdujemy nazwisk pisarzy i działaczy kulturalnych naprawdę wybitnych, których praca i zasługi nie budzą w nikim najmniejszych wątpliwości. Widnieją wśród odznaczonych — zbyt niestety często! — ich mierniejsi koledzy, którzy z niezbadanych przyczyn zdołali się wybić, zakasować i usunąć w cień ludzi, których pominięcie jest nie tylko ich krzywdą osobistą, ale i krzywdą wyrządzoną kulturze polskiej.

Niebezpieczna była już sama zasada masowości „wawrzynu“. Zespół elitarny nie budzi zazwyczaj tylu zastrzeżeń i sprzeciwów, co odznaczenie kilkuset ludzi. Trudniej wtedy o stosowanie odpowiednich kryterjów, które nieraz mogą się w takich wypadkach okazać niepewne i zawodne. Nie wypowiadając się więc przeciwko samej, najslusniejszemu naszym zdaniem, zasadzie masowości odznaczeń, musimy jednak stwierdzić, że praca nad wyborem wyróżnionych musi być w tym wypadku prowadzona bardziej odpowiedzialnie i rzeczowo. Czynniki przypadkowości musi być wyeliminowany. Wtedy nie będzie takich wypadków, jak np. nagrodzenie za krasomówstwo adwokata, znanego z jakanania.

Chodzi o to, żebyśmy przy następnej serji odznaczonych mogli wszyscy bez zająknięcia stwierdzić, że Akademia odznaczyła rzeczywiście możliwie jaknajwiększą ilość rzeczywiście na to zasługujących. Żeby nie było liści bobkowych, ale — prawdziwe wawrzyny...

pchr. St. Kostka

## 11 LISTOPADA

*Zielony krąg i spirala, po której pędzą wagony.  
Rozwarłe szeroko oczy, szalone w obłądnym biegu,  
w czernią zastygłą ciszę strzelają węzłem rakiety.  
Zakrzępte w złotych odpryskach, skrzzące się, drżą-  
[ce pociski  
skaczą w odcinkach metrów z anteny wprost do  
[anteny  
i ryją w małych pudełkach, w kamiennych kom-  
[pleksach—krety.*

*Stukot zmęczonych myśli tętnem pulsuje pogoni,  
zaciska wargi i w mózgu bruzdy wykuwa nowe...  
Podeprzeć zboląłą głowę, z chaosu się wyrwać  
[przemocą  
i nocą, głęboką nocą przed koło udręczeń, co dzwoni,  
wybiec daleko...*

*Długa drabina podkładów piętrzy się w pionie  
[faktami.  
Syczą sapiące maszyny, szlochają kaniem olbrzymów,  
grzmot kół zębami się wdziera, zgrzyta fałszywym  
[akordem,  
śmiechem dławiącym boleśnie i złemi obtudy łzami  
wśród huk, pędu i świstu i chmurnych i czarnych  
[dymów.*

*Zielony krąg i spirala, po której pędzą wagony.  
Skrót historyczny dziejów na ziemi usianej liśćmi.  
— Liście są żółte, jesienne, pamiętasz, to przeszło,—  
[liście...  
Listopad teraz i wiosna, woń jaśminowych kiści...*

*Srebrne talary judaszów błyszczały w bagnetów stali,  
a ziemia przez nich sprzedana krwi cenę miała  
[tysięcy.  
Zielone pola i lasy, skrwawione pola i lasy,  
kochane pola i lasy i strzechy sierocych wsi...*

*Sny podchorążych młodych, wczepione w odległe  
[błyski,  
dalekie brzaski jutrzeńki w spokojnych oczach  
[Traugutta,  
chaos spiętrzonych faktów, akordów na różne tony,  
szalony pęd kołowrotu z anteny wprost do anteny,  
zielony krąg i spirala, po której pędzą wagony!*

*Liście się kładły kobiercem w nieznanym, zapadłym  
[Zułowie,  
cyfry i znaki tworzyły kabalistyczne, tajemne...  
Słomki ciągnęły wysoko, szumiały lotem podnieb-  
[nym —*

*— On patrzył w Listopad  
i widział...*

Dęblin.

Strzel. z cenz. R. Sadowski.





## GŁOS Z BUKÓWKI

Kielce. Miasto szczególnie pamiętne z epoki walk legjonowych, jest siedzibą 2-giej Dywizji Piechoty. Przy tej to formacji mieści się od lat kilku Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy Piechoty, stacjonujący wraz z częścią 4 p.p. leg. w miejscowości, odległej od wojewódzkich Kielc o 4—5 klm., a zwanej Bukówką.

Wśród lasów i gór świętokrzyskich, w malowniczej okolicy na tle nęcącego oka krajobrazu, położone są wygodnie urządzone i wcale nowoczesnie zbudowane koszary. Styłowy blok gmachów w lewej oficynie mieści w dwu rejonach plutony szkolne Kompanji Podchorążych.

Otwarcie Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy Piechoty w Kielcach nastąpiło po upływie kilku dni; kiedy choć częściowo i przedewszystkiem zewnętrznie wyrzuceni rozkazem władz wojskowych z rodzinnych domów i miast młodzieńcy dali się w miarę możliwości zmienić w żołnierzy.

W przeddzień uroczystego otwarcia roku szkolnego nowego rocznika Dowódca Szkoły p. kpt. K. Korzeniowski odbył dłuższą pogadankę, będącą w ogólnych zarysach wstępnie wprowadzeniem młodych ludzi, do wczoraj jeszcze—stuprocentowych cywilów w zespolone życie wojskowe. Ponadto dzięki mocnym, wypowiedzianym jędrnym żołnierskim stylem, wskazówkom oficerów i podoficerów dowiedzieliśmy się już o zasadniczych przemianach, jakim bezwzględnie winno ulec zewnętrzne i wewnętrzne nasze życie. Zaczęliśmy jednocześnie oceniać znaczenie ściśle unormowanego trybu bytowania w wojsku, starając się kształcić w sobie prawdziwe umiłowanie szczytnego stanu żołnierskiego.

W tym dniu ukonstytuował się zarząd świetlicy, ufundowanej w znacznej części przez poprzednie roczniki kieleckiej Podchorążówki, uchwalono nawiązać ścisły kontakt z redakcją „Podchorążego” oraz zaprenumerować szereg czasopism treści ogólnej i fachowej.

Właściwe uroczyste otwarcie Kursu miało miejsce w dniu następnym 25 września b. r. W imieniu nieobecnego Dowódcy 2-giej Dywizji Piechoty p. gen. Zulauf'a dokonał otwarcia p. płk. Ostrowski, dowódca 4 p. p. leg. W jednej z sal wykładowych do zebranych kursistów, prze-

mówił p. Pułkownik. Mowa dowódcy pułku, znajdująca silny i trwały odzew wśród licznych, dziarsko się prezentujących, słuchaczy, pozostawiła b. silne wrażenie.

W otoczeniu pp. oficerów Pułku i Kursu, udał się p. płk. Ostrowski na rozległy plac koszarowy, gdzie po uprzednim odebraniu raportu, wręczył symbolicznie pierwszy karabin jednemu z kursistów. Nastąpiła wówczas pamiętna chwila otrzymania broni, mająca niejako znaczenie tradycyjnego pasowania nowych kandydatów na żołnierzy Rzplitej.

Odtąd rozpoczęła się twarda i żmudna, lecz — w jakże wiele obfitująca momentów żywej radości — służba wojskowa.

Z przyczyn niezależnych od redakcji tak się złożyło, że powyższe sprawozdanie umieszczone zostało w terminie nieco spóźnionym. W myśl jednak znanego przysłowia wyszło to o tyle na dobre, że umożliwiło kieleckim podchorążakom spojrzeć na dotychczasową pracę w szeregach, okiem porównawczym. Asumpt do tego dało przemówienie Dowódcy Kursu, który w ostatnich dniach stwierdził, ku naszemu zadowoleniu, iż miesięczny „rachunek sumienia” poza nieznanymi wyjątkami wyszedł wcale dodatnio.

Ze swej strony postanowiliśmy nieugięcie nie zawieść pokładanych nadziei.

leg. z cenz. Z. Łaguna

## HALO! HALO! TU MÓWI ŁUCKI

W „pokoju” szaro, słońce — nie zdążyło jeszcze dotrzeć do jego wnętrza, być może z zazdrości, że leżący pod płowemi kocami — nie śpią już, — że nie ono tak budzi, a jakiś tam „cichy” (!) — szorstki głos, szaro ubranego człowieka.

Pobudka! — Słowo wprost czarodziejskie! Na jego dźwięk — jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — w szalonych susach kilkanaście postaci leci na łeb na szyję gdzieś tam z góry, po drodze łączy się z kilkunastoma postaciami z dołu — by w kilku sekundach znieruchomieć... w postaci zasadniczej.

Ubiierać się! — Hm — rzecz względna — wprawdzie wdziemy kalesony, złożone w „kostkę” — ale znów —



Odprawa redaktorów-korespondentów „Podchorążego” w dniu 2 b. m. w Warszawie. W środku siedzi p. ppłk. dypl. A. Rudnicki, szef Wydziału Ogólnego W. I. N. O.



W Różanie kwitnie siatkówka

zdejmujemy koszule. Obnażeni, w białych kalesonach — jakoby abisyńscy — rżniemy do mycia. Mycie się? — Pa-rodja mycia! Ledwie zdążył zmaczać ręce a niemi gębę — bierziesz mydło — a tu:

Kończyć na salę marsz! Zapinasz ostatni guzik — gwizdek na modlitwę. Ta cóż? stajesz na korytarzu — mówisz paclerz — śpiewasz — wyprężony jak struna — skandujesz apel:

„Marszałek Piłsudski umarł ciałem, ale żyje duchem w sercach naszych i żyć będzie wiecznie. Pamiętajmy i czynmy wszystko, by zgodnie z jego nakazem utrwaląc wielkość i chwałę Polski”.

W prawo zwrot! — Marsz! — śniadanie — kilka kęsów chleba zębami zapitych wrzątkiem, znanym szumnym „małą czarną” i — koniec. Po śniadaniu ubierasz cały rynsztunek do ćwiczeń bojowych, by, po zejściu na plac zdjąć wszystko do koszuli i owijaczy włącznie. Gimnastyka! Przez 35 minut wywijamy rękami — nogami i... innymi częściami ciała — (marsz wspięty na piętach — ćwiczył?)

Krótką przerwą i wymarsz na ćwiczenia bojowe. Nastrój — naprzemian wesoły i c. d. d. — Traf chciał, że w nocy padał desz — ziemia, gliniasta, rozmokła zupełnie, na drodze naszej pełno kałuż i dołów z wodą. Zręcznie próbujemy wyminąć obszerne, ciągnące się nieraz na kilkanaście metrów kałuże — ale nasz kochany zastępca d-cy plutonu a nawet sam d-ca plutonu — każe walić wprost! — Ha, trudno, jak walić, to walić, delikatnie, jak kot, zanurzamy nogi w błota i wody — co widząc d-ca, zmełł w ustach jakieś piękne słowo i ryknął: Bacność!

Psiakrew! Wszystko już nam jedno, — każdy wali w wodę sprężonemi nogami, rozpryskując na wszystkie strony. Dopóki woda nie dostała się do butów — było wszystko w porządku — ba śmieliśmy się!

Gorzej było, gdy na placu ćwiczeń staliśmy, słuchając wykładu, narażeni na czyzy, zimny wiatr, no... ale to nie!

Wracamy — (niestety bez humoru) — do koszar — ćwiczenia strzeleckie — przeplatane musztrą — trwają do obiadu. Podczas przygotowania drużynowy woła kolegę: rekrut z cenz. „X” — „Na rozkaz p. drużynowego! Obejmiecie zarząd nad biblioteką! — Prowadzi go do biblioteki-czytelni i pokazując na szafki z książkami mówi: „Tu ma-

cie dział naukowy a tu, dział „balastryki” — zrozumieliście?” a uważajcie na książki! — Wprawdzie skończyliście szkołę, uczyliście się historyjki i geografiki, ale tu nie jest szkoła a szkoła, duża, potężna szkoła — to nie Uniwersytet — tu trzeba myśleć rozumiecie?! Tak jest!

Obiad. Hm. Ta cóż? — obiad.

3 dania, a jakie, (w niedziele i święta 4). Potrawy typowe (t. zn. co drugi dzień).

Całość... owszem... ddddobra. Sy-ci — (wrażenie) — wrażenie wracamy na salę, siadamy na „fotelach” — i ćwiczymy nakazane przez drużynowego — „róże herbaciane”. Nagle — na korytarzu — awantura jak sto djabłów! Przewziska (naprawdę „rekruckie”) kłątwy,

wymyślania od braku najprymitywniejszych zasad kultury i wychowania — słowem: coś okropnego! Wkrótce sprawa się wyjaśnia: oto, jednemu z naszych kolegów, który był dziś dyżurnym — napluł ktoś do spluwaczki, będącej pod jego „pieczą”!

Bez komentarzy.

Awantura ściągnęła nam na kark drużynowego, który, wysłuchawszy żałosnej litanji kolegi-dyżurnego, wydał sąd — godny Salomona:

Wy — wyczyście spluwaczkę — reszta za łopatką! Pójdziecie „tresować” boisko do koszykówki. Ha — trudno szlak trafił i „róże herbaciane” i spoczynek po obiedzie.

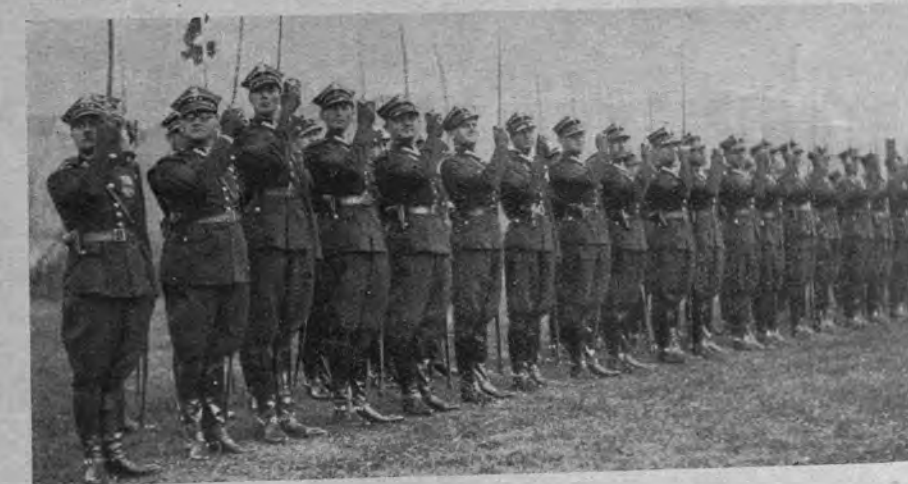
„Wytresowawszy” boisko — po połowicznym odsapnięciu tylko gwizdek: pas — ładownice — karabin; musztra — szermierka — wykład i... z westchnieniem ulgi witamy koniec zajęć. Rozkaz (nazywany u nas: wydawanie listów), kolacja uzupełniana w miarę pełniłości kieszeni, herbatą z ciastkami przy przygodnym koncercie kolegów w pobliskiej herbarni.

Wkońcu — (naturalnie na gwizdek; gwizdek w wojsku znacznie swą częstotliwością przewyższa gwizdki na dworcach kolejowych).

Przygotowanie do apelu.

Stoimy już w szeregu wreszcie „capstrzyk”.

Leżąc pod jednym kocem — (drugi leży zwinięty pod głową, by go nie zwiąć rano) — „odechodzi” kilka wiców zależnie od „samopoczucia” i... ciężki sen ogarnia kilkunastu



Nowi podporucznicy wojsk technicznych (absolwenci S. P. I.).

chłopaków, zmęczonych dzienną bieganiną. Na ustach ich osiadł pół-uśmiech zadowolenia — bynajmniej nie spowodu „upływu jednego dnia więcej“... ale z radości pobytu w wojsku.

D. K. P. R. Łuck.

Z. Janiga

## INAUGURACJA KURSU PODCHORAŻYCH REZERWY PIECHOTY W GRUDZIĄDZU

Słoneczny ranek wrześniowy... Na podejściu góry garnizonowej obok koszar 65 p. p. widać ożywioną grupkę ludzi. Zbiera się coraz więcej... zbierają się związani jakimś wspólnym celem... na zegarze kościoła garnizonowego, wybija godzina ósma i równocześnie otwiera się brama koszar, za którą zniknęli ci, których powołano do ciężkiej, bezwzględnej, lecz zaszczytnej służby wojskowej.

Między trzy dni... rejon IV-ego Kursu Podchorążych Rezerwy Piechoty 16 ej Dywizji tętni życiem. Odbывают się ostatnie gorączkowe przygotowania do uroczystego otwarcia nowego roku w Podchorążówce.

Wiedzieć trzeba, że nasza Podchorążówka jest nie tylko oczkiem w głowie Dowódcy Kursu, lecz cały Grudziądz nią się zajmuje, interesuje swoimi pupilkami.

Zebrałiśmy się w skromnej świetlicy Kursu w oczekiwaniu pana pułkownika Kustronia Dowódcy Piechoty Dywizyjnej.

Orkiestra zagrała marsza, komenda — baczność, raport Dowódcy Kursu p. kpt. Sożyńskiego i wśród ogólnego zaciekawienia przemówił do nas pan pułkownik. W krótkich, treściwych słowach pan pułkownik wyjaśnił nam stosunek wojska do Państwa, przedłożył nam obowiązki żołnierza-obywatela i ciepłymi słowami zachęcił nas do wytrwałej pracy. Sztandar państwowy zawisł na ścianie, przytwierdzony osobiście przez p. pułkownika i tem samem rozpoczęty został nowy rok w Podchorążówce. Rok trudnej pracy, pracy nad sobą dla chwały naszej Rzeczypospolitej!

Grudziądz.

strz. z cenz. Al. Leszczyński



Bliższa znajomość z łopatką.



Kompanja chorągwianna S. P. I. w historycznych mundurach.

## PROMOCJA W SZKOLE PODCHORAŻYCH INŻYNIERJI W WARSZAWIE

Po długim a gorącym wyczekiwaniu, zbliża się uroczysta chwila promocji. Minuty dzielą ich tylko od momentu, który napewno pozostanie w pamięci każdego z Niech jasnym wspomnieniem nagrody za pokonanie licznych mozołów dnia powszedniego i świetlanym wspomnieniem utworzenia drogi do zaszczytnej pracy oficera Wojsk Polskich.

Nagroda za cztery lata pracy umysłowej, nieraz ciężkiej i znużonej oraz wytężonej podchorążego S. P. I. przeplatanej pracą fizyczną saperów czy szeregowca łączności. Te cztery lata, to przeszłość dość twarda, to próba charakterów dość ostra, ale właśnie dzięki temu to fundament trwały i pewny przyszłości. To podstawa silnej wiary w nieograniczone możliwości psychiki człowieka, który może tak wiele, że sam sobie z tego nie zdaje sprawy.

Przyszliśmy mali, wychodzimy wielcy, — to jedno ze zdań prymusa saperów wypowiedziane do Pana Generała Kutrzeby, przedstawiciela Pana Prezydenta na uroczystości promocyjnej.

I zdanie to mieści w sobie właściwie wszystko, cały wysiłek urobienia w sobie charakteru takiego, który będzie najlepszym strażnikiem bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

Pocóż zresztą długo o tem mówić, są to rzeczy, które wszystkim nam dobrze są znane, a których treści żadne słowa nigdy nie oddadzą.

Szkoła Podchorążych Inżynierji rozpoczęła swą uroczystość od złożenia hołdu I Marszałkowi Polski w symbolicznej obecności siedziby Wodza — Belwederze.

Wesoły i pogodny nastrój przedpromocyjny znikł, a miejsce jego zajęła głęboka powaga i skupienie, podyktowane wielką chwilą. Cicho padły komendy, które głucho odbiły się od ścian Belwederu i nastąpiła cisza wielka i poważna, słychać było zgrzyt piasku. To podchorążowie nieśli wieniec, który miał zameldować o tem, że nowe siły przybywają Ojczyźnie Naszej i przyczynią się do Jej wzrostu, potęgi i siły.

W drodze powrotnej złożono również wieniec Poległym Saperom u stóp Ich pomnika, koło naszej Szkoły, by tem nawiązać łączność duchową z pokoleniem, które już zdążyło życie swe złożyć na ołtarzu odradzającej się Polski.

Na zakończenie dnia podchorążackiej służby, jutrzejszych oficerów, odbył się uroczysty wspólny apel i przeka-



Promowanie absolwentów S. P. I. na podporuczników

zanie naramienników młodszemu rocznikowi, na czem obecny Komendant Szkoły p. ppułk. Arczyński i dowódca bataljonu mjr. Piotrowski wygłosili krótkie przemówienia, żegnając swych wychowanków, podchorążych absolwentów S. P. I.

Wreszcie „Pod Twą Obronę” rozległo się i echem wzmoconą pieśń biegła prosto w niebiosa, kończąc ten dzień przedpromocyjny.

Dzień promocji rozpoczął się uroczystą mszą polową, odprawioną przez sekretarza Jego Ekscelencji biskupa polowego W. P. Po mszy odbyła się defilada całego bataljonu i kompanji łączności z Zegrza przed delegatem Pana Prezydenta, Gen. Kutrzebą. Na czele szła kompanja historyczna a zarazem chorągwianna.

Po defiladzie odbył się właściwy akt promocji, pasowanie na oficerów, rozdawanie dyplomów i nagród. Prymusami Szkoły zostali: saperów — ppor. Belina-Bylina Leszek, łączności — ppor. Mikulski.

Teraz zaczęły się gratulacje i życzenia. Młodzi podporucznicy w jednej chwili zostali porwani przez tłum krewnych, znajomych, kolegów. Następują akcesoria każdej poważniejszej uroczystości tego rodzaju: kwiaty, powinszowania, ściskanie rąk i pocałunki.

Wspólny obiad żołnierski zakończył ten uroczysty dzień, w życiu każdego podchorążego zostawiając niewątpliwie wyryte w sercach wspomnienia pięknej przeżytej chwili.

W czasie obiadu przemawiał Pan Gen. Kutrzeba, który dodał otuchy młodym oficerom na wstępie ich służby mówiąc, że każdy ma buławę marszałkowską, lecz by ją dostać będzie musiał się wspinać po drabince w górę, torując sobie drogę pracą i odwalając kłody z niej i przeszkody.

Następnie Pan Komendant Szkoły ppułk. Arczyński dziękował za zaufanie i chęć pracy swych wychowanków, którzy wynieśli wiele ze Szkoły i życzył im szczęścia w oddziałach oraz jaknajmniej ciemnych chwil.

Na przemówienia przełożonych odpowiedział ppor. Belina-Bylina w imieniu kolegów, dziękując za trudy i pracę wychowawcom, oraz za ich serdeczne życzenia.

A potem podporucznicy rozjechali się ze Szkoły po całej Polsce, by wypocząć w gronie swoich najbliższych i najdroższych, przed nową ciężką i odpowiedzialną pracą oficera.

Czołem starsi koledzy!

Życzymy powodzenia w pracy i szczęścia.

## TOMASZÓW ODEZWAŁ SIĘ...

W dniu 14 września odbyło się w dyw. Kursie Pchor. Rez. Piech. w 9 p.p. leg. w Tomaszowie Lub. uroczyste otwarcie kursu połączone z wręczeniem broni uczestnikom kursu. Otwarcia kursu dokonał D-ca 9 p.p. Leg. p. ppłk. Wyderko przedstawiając zadania i obowiązki ciężące na przyszłych podchorążych rez., poczem wręczył przedstawicielom Kursu Pchor. karabiny i bagnety. Komendant Dyw. Kursu p. kpt. Mikołajczak w prostych słowach żołnierskich przedstawił znaczenie broni dla żołnierza i wręczył broń wszystkim pozostałym uczniom Kursu Pchor. Następnie p. ppłk. Wyderko dokonał uroczystego zawieszenia chorągwi państwowej w sali wykładowej, orkiestra odegrała Hymn Narodowy.

Po części oficjalnej odbył się wspólny obiad żołnierski. Całość miała nastrój bardzo podniosły i pozostawiła w sercach żołnierskich niezatarte wrażenie.

leg. z cenz. St. Lax

Tomaszów Lub.

## HOŁD NA WAWELU

W dniu 31 października 13 p. p. obchodził swoje święto pułkowe. Z tej okazji cały pułk, z naszym Kursem na czele, wyjechał specjalnym pociągiem do Krakowa, aby w tym wielkim dla siebie dniu złożyć hołd Wodzowi Narodowi, twórcy i organizatorowi sił zbrojnych Odrodzonej Rzeczypospolitej. Akt ten posiadał tem większe symboliczne znaczenie, że 13 p. p. powstał w r. 1918 właśnie w Krakowie. W dniu tym odbyła się na Wawelu uroczysta msza żałobna za duszę s. p. Marszałka Piłsudskiego, w czasie której śpiewał nasz chór. Następnie długim rzędem przesuńli się wszyscy przed tak drogą każdemu Polakowi trumną, w pełnem głębokiego milczenia skupieniu składając hołd Temu, który krwią Swoją dał Polsce wolność, mieczem wykreślił granice, genjuszem pracy dał moc i szacunek.

Jesteśmy zbyt młodzi — nie dano nam było iść w szeregach Pierwszej Kadrowej. Ale w skupionych twarzach, palących oczach, w gorącym tętnie serc — czytać było można, że gdyby zaszła potrzeba, my pierwsi pójdziemy... A teraz



Promowanie prymusów S. P. Inż. przez p. gen. Kutrzebę

pracować będziemy dla Polski całą siłą naszych młodych serc i utrwalając Jej potęgę wytrwałą pracą naszych młodych ramię!

Popołudniu zwiedzaliśmy pamiątki historyczne Krakowa, a wieczorem byliśmy wszyscy w Teatrze Miejskim na „Rozbitkach” z występem gościnnym K. J. Stępowskiego. W dniu następnym udaliśmy się na Sowiniec celem wzięcia udziału w wyprawie kopca. Niestety z powodu zbyt rozmiętego gruntu nie można było wozić ziemi taczakami. Po żołnierskim przemówieniu p. pułk. Zientarskiego minuta ciszy, wyprężeni na baczność, uczciliśmy pamięć Wielkiego Marszałka...

W dalszym ciągu naszej wycieczki zwiedziliśmy popołudniu kopalnię soli w Wieliczce. Po kilkugodzinnej wędrówce w ziemi, wróciliśmy do Krakowa. Kolacja na dworcu, ostatnie spojrzenia na miasto — pociąg ruszył. Trzy dni minęły szybko — pozostały tylko wspomnienia. Ale nad tem wszystkim jeszcze coś głębokiego, coś wielkiego i niewypowiedzianego, co na zawsze utkwiło w nas całym...

strz. z cenz. J. Dostatni

## BRZĘCZĄCY URLOP

Na odprawie pan redaktor grzecznie prosił by już nareszcie skończyć z „pierwszemi” wrażeniami — ale czyż można opuścić tak ważny moment jak pierwszy urlop. Spełniły się sny tych największych entuzjastów wojska, którzy chcieli szabelką i ostogami dzwonić. A zaczęło się niewinnie. Poprostu na początku naszego pobytu zapytano: kto wogóle gra na jakimś instrumencie. Ze źródeł miarodajnych dowiedziała się wiara, że ci wybrani pojedają po swe brząkałki. Zaczęło się wyszukiwanie wrodzonych zdolności.

Jeden z nas grał kiedyś na organkach kilku proponowało akompaniament na patefonie, a inny miał nawet w domu „stary zegar kurantowy”. I bez tego nasuwa się nam myśl straszny dwór w jaki zmieniają się koszary przy pierwszej próbie. Ale sprawa ucichła. Nagle bomba wybuchła — do jutra ścisła lista — wyjazd na Wszystkich Świętych, pojutrze.

Wojsko jest gościnne. W żaden sposób nie chciało nas wypuścić. Naznaczono pierwszy przegląd umundurowania, guziki, ostrogi (żeby nie własne), potem drugi przegląd, ale w innych koszarach, wreszcie wszyscy muzycalni markieranci i jeszcze kilku wybitnych szczęściarzy otrzymali legitymacje i karty urlopowe.

Dziwny stuk własnych butów po płytach chodnika — pierwszy raz po sześciu tygodniach. Nad wypuszczonym ptaszkiem wisiła tylko zмора zwana „kanarkiem”, a poza tem świat na całe trzy dni był otwarty.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem w pociągu uśmiechnięte twarze pasażerów, gdy na kark zwała im się trzydziestu ułanów z cenzusem. Widocznie wojsko ma swój urok — odżywają w pamięci „Śluby ułańskie”, „Ułani chłopcy malowani”. „Podchorążaków puścili”, mówiła z uśmiechem jakaś czarująca blondynka, a my cieszymy się w duchu niezasiłonym tytułem „podchorążych”.

Ostrogi dzwonią, szabelka pod pachą, buty trochę cisną, ale za to oryginalne od Niedzińskiego. Ciekawie rozglądają się oczy z trudem znalazłszy szczylinę między daszkiem ułanki, a kołnierzem fasowanego płaszczu — życie jest piękne! „Ułan wróć” — spadłem z obłoków. Jakiś niewdzięczny patrol żandarmerji, któremu przecież tak ślicznie zasalutowałem — groźnym głosem żąda papierów — ręka w kieszeni długo i głęboko szukała... znalazła — „a szabelkę jak trzymacie — spisujemy protokół”. Pan major zapowiedział najmniejsza granda, a Wilję spędzić w Grudziądzu. Żegnaj oplatku

wigilijny! Grunt, że papiery są — do paki nie wsadzą i dwa dni przed nami do Bożego Narodzenia daleko.

„Wróciliście”, pyta zaspany głos w sali „dopiero trzecia za dwie godziny pobudka; a wasze siodła jeszcze nie stroczone, stroczycie rano dziś jazda na teren — jak tam było na urlopie; świetnie, mam nadzieję, — a myśmy wam juki przetrarli — będzie wizytacja”. Skończyło się brzęczenie ostrogami, szabelka powróciła na stojak lub do siodła, a zaczęło się długi okres pracy i ćwiczeń ułańskich; a mają one dziwną moc, moc dania nam uczciwie zapracowanego urlopu.

S.P.R. Kaw. Grudziądz.

uł. z cenz. Z. Kmita

## PIERWSZE STRZELANIE

Dokonał się defloracji naszej „dziewiczej” broni. Po raz pierwszy stało się to w pamiętny dla nas dzień 22.X, kiedy pierwsze strzały padły z naszych karabinków. Jedyna nasza „dziewiczkość” została stracona, ale wzamian za „cnotę” dostaliśmy sprawdzian umiejętności strzeleckiej.

Wstał szary, dzysty dzień październikowy. Ostatnie przygotowania przed wymarszem na strzelnicę. Wiara podenerwowana, może nie tyle tem, że pierwszy raz strzela, ale tem, że od danego wyniku zależą przepustki, no a co idzie w konsekwencji, przed „cenzusem” obniżają się niebiańskie widoki na pleć piękną. Podniecona tem wiara wali na Wolę Justowską. Krótkie pouczenie, sakramentalne O. P. R. i zajmowanie stanowisk.

Obok mego stanowiska rozkłada swe cielsko poważny magister prawa. Ten sam, który w obliczu powag naukowych nie tracił nigdy rezonu, teraz drzy niczem przysłowio-wa osika. Przyciąga karabin do policzka, a jednocześnie (sądząc z miny wystraszonej) myśli, czy karabin bardzo kopie. Celuje — zamyka oczy — strzela. Trach — trach — trach... Pokazuje się, że dobry strzelec, co w 3-ech strzałach zrobił 300 punktów. I to zupełnie łatwo! Strzelił w trójkę i dwa zera. Jęśliwym głosem melduje wynik strzelania, a chcąc się uchronić przed „oper-acją” zwala winę na karabin. (W duchu żegna się już z przepustką i... widokami...), a tymczasem obok „cenzusy” biją w cel jak cholera. Raz po raz tarczowi pokazują 10, 9, 9, rzadziej mniejsze numery.

Na stanowiskach cisza — skupienie maluje się na twarzach. Ciszę przerywa rechot strzałów, trzask zamków i terkot dzwonek. W schronach, gdzie tarczowi pracują w „pocie czoła” zupełnie inny nastrój. Ruch — śmiech — humory tarczowych powiększają chwilę, kiedy mogą pokazać „uciechę”. Jedno stanowisko ma specjalne szczęście do „dobrych strzelców”. Tu uciechy sypią się niemal jedno po drugim. A każdej z nich towarzyszy dziki śmiech tarczowego.

Strzelanie ma się ku końcowi. Rzedną strzały. Wreszcie ustają. Ogólny wynik bardzo dobry. Wiara z humorem wraca do koszar — przecież przepustki ich czekają.

Kraków

strz. z cenz. St. Jarzębiński

## NOWY SUKCES W DZIEDZINIE LOTÓW PODNIEBNYCH W SZKOLE PODCHOR. W BYDGOSZCZY

Dzień promocji absolwentów Szkoły na podporuczników był jednocześnie uroczystością Sekcji Szybowniczej im. gen. dyw. inż. Leona Berbeckiego. W dniu tym bowiem tj. dnia 15.X 1935 r. odbyło się poświęcenie szybowniców, które wzmocniły eskadrę Sekcji. Do nowych nabytków należą: typ „Czajka”, ufundowany przez odchodzący najstarszy rocz-

nik, typ „Wrona”, zakupiony przez Sekcję i płatowiec słabo-silnikowy, jedyny w Polsce t. zw. „Pchła niebios”, czy też „Pou du Ciel”.

Po uroczystościach promocyjnych, o których obszerniej napiszę innym razem, zebrały się oddziały i liczna publiczność na dziedzińcu im. Tad. Kościuszki. Frontem do głównego gmachu Szkoły stały przygotowane do chrztu płatowce, wyrównane i udekorowane zielenią oraz barwami narodowymi. Lekko drżały przed uroczystą chwilą, nie wiem, czy ze wzruszenia, czy też pod wpływem wietrzyku.

Ceremonji dokonał kapelan Szkoły, ks. ppłk. Szykiewicz Wiktor, wygłaszając okolicznościowe przemówienie. Tradycyjne rozbiecie butelek szampana o kadłuby poszczególnych szybowniców zakończyło ceremonję.

Sekcja szybownicza, dzięki takiemu wzbogaceniu — będzie mogła swą dotychczasową działalność ogromnie wzmoc. Jej dotychczasowa praca wyraża się w liczbie do 400 wyszkolonych pilotów szybowniczych kat. „B” lub conajmniej kat. „A”.

Praca w Sekcji, dzięki jej Prezesowi p. kpt. Chudzikiewiczowi wre przez cały rok. Na wiosnę i jesienią odbywają się loty treningowe na wzgórzach podbydgoskich Fordonu. W zimie zaś, fachowe sily instruktorskie prowadzą kurs teoretyczny dla roczników młodszych.

Już za kilka dni rozpocznie się V kurs teoretyczny. Zainteresowanie się ideą szybownictwa jest wśród braci podchorążackiej ogromne. Dajemy przykład na sobie, że niezależnie od przynależności do takiego, czy innego rodzaju broni, niezależnie od pogłębienia wiedzy ściśle wojskowej, niezależnie od wlotów duchowych — potrafimy się również dobrze oderwać fizycznie od ziemi i spojrzeć na nią dostownie z lotu ptaka.

Szkoda tylko, że tak pożyteczny i celowy dla potrzeb wojska sport, uprawiamy w odosobnieniu od reszty Szkół Podchorążych. Nie przypuszczamy, aby w tej dziedzinie naprawdę nie robiono i dlatego oczekujemy na łamach „Podchorążego” ujawnienia tych poczyniń, względnie zamierzeń, jakie może zaistniały w pewnych garnizonach.

Szkoła nasza, mając za sobą bogate doświadczenie w dziedzinie szybownictwa, chętnie posłuży swą radą i fachowymi wskazówkami.

pchor. A. Staszewski



Nowoohrzczone szybownicy w Szkole Podchorążych w Bydgoszczy. Na pierwszym planie „pchła niebios”



Chrzest nowej „Czajki” w Szkole Podchorążych w Bydgoszczy

## ŻYCIE SPOŁECZNE W SZKOLE PODCHORĄŻYCH REZERWY ARTYLERJI WE WŁODZIMIERZU

**S. P. R. A.** we Włodzimierzu mieści w sobie około 1000 uczniów. Zajęcia, ściśle związane ze służbą, pochłaniają, zdawałoby się, ogół nieomal całkowicie.

Powierzchny obserwator nie domyśliłby się najprawdopodobniej nigdy, że wyciężona praca głów, mięśni i nerwów przy zajęciach służbowych pozostawia choćby małą cząstkę czasu, któremuś z żołnierzy, na zajmowanie się sprawami pozasłużbowymi, zawodowymi, czy społecznymi — daleko odbiegającymi poza bezpośrednie wymagania i potrzeby programów i regulaminów S. P. R. A.

A przecież obok życia i zajęć wojskowych tętni z mniejszą napewno mocą ale niemniejszym zacięciem i zapałem prowadzona praca intelektualna, samokształceniowa, zawodowa i społeczna. Wiedza, potrzeby duchowe, ideały — nabyte, czy może (u szczęśliwszych) zdobyte w murach szkolnych, lub na wyższych uczelniach, nie pozwalają zasklepić się całkowicie i bez reszty w pracy ściśle żołnierskiej — olbrzymi znowuż wybór ludzi z pośród tysiąca umożliwia to, że wybierając jednostki najczynniejsze i najwartościowsze, można życie to na wysokim możliwie poziomie postawić.

Całość zorganizowanego życia Szkoły (poza ściśle regulaminową służbą) — ujęta jest w jedną ogromną organizację, skupiającą w sobie wszystkich kanonierów z cenzusem o nazwie „Koło Kulturalno-Oświatowe Uczniów S. P. R. A.” (K. K. O.), cele i ideologia jego są proste choć nielatte do osiągnięcia: ma ono wytwarzać ideologję podchorążego rezerwy, ma wskazać na zadania, które podjąć musi w społeczeństwie, jako strażnik Dobra Państwa i strażnik cnót obywatelskich w Narodzie.

K. K. O. wyznacza sobie dalej za cel kształcenie uczniów w dziedzinach wiedzy, związanej bliższymi czy dalszemi nawet więzami z wiedzą wojskową przez to, iż w najprzeróżniejszych formach wykorzystuje zawodową wiedzę tych, którzy z dyplomami prosto z wyższych uczelni trafiłi do koszar bateryjnych. Dalej — związane uczniów Szkoły więzami największgo zrozumienia i braterskiej życzliwości, podniesienie poziomu etycznego i moralnego w Szkole do wysokości, odpowiadającej tradycji Żołnierza-Polaka, wytwarzanie tradycj Szkoły, które później mogłyby się stawać podniętą w pracy dla następnych roczników — oto co chce robić i co robi omawiana centralna organizacja.

Obejmując swym zasięgiem całokształt życia społeczno-

intelektualnego w Szkole — K. K. O. działa oczywiście w porozumieniu, pod kontrolą i wskazówkami Komisji Kulturalno-Oświatowej, wyznaczonej przez Pana Komendanta Szkoły z pośród Panów Oficerów.

Ogólne zebranie K. K. O. stanowi 40 delegatów, desygnowanych w równej liczbie z każdej baterji. Zebranie tych delegatów ma kompetencje, przyznawane zwykle walnym zgromadzeniom każdego Towarzystwa — najważniejszą oczywiście prerogatywą jego jest wybór Zarządu K. K. O. (7 osób) i Komisji Rewizyjnej.

To Koło Kulturalno-Oświatowe nie działa bezpośrednio wśród uczniów Szkoły, ale za pośrednictwem 15 Sekcyj. Każda z tych Sekcyj ma własne zadania, własne metody i formy pracy, pozatem posiada własne Władze (zatwierdzone zresztą każdorazowo przez Zarząd K. K. O.) i w dużym stopniu pozostawioną swobodę pracy. Wszystkie Sekcje są międzybateryjne i na nich właśnie spoczywa właściwa praca „w terenie” — one to realizują bezpośrednio cele, zakreślone statutem K. K. O.

Jedną z pierwszych w hierarchji organizacyjnej, największą część uczniów reprezentującą i spełniającą najważniejszą rolę — jest Sekcja Wychowawczo-Oświatowa.

Jej nazwa rzuca wystarczający refleks na cel, dla którego została założona. Działa ona przez organizowanie prac i odczytów dyskusyjnych dla członków — z dziedzin ideologicznych, odnoszących się do działalności żołnierza-Obywatela, dalej przez wygłaszanie odczytów dla ogółu uczniów, uwzględniających najważniejsze przejawy życia kulturalnego, społecznego czy politycznego.

Sekcję tę tworzą bateryjne Kółka Ideologiczne, prowadzące właściwą pracę na terenie baterji. Co najmniej raz na trzy tygodnie winien odbyć się w każdej baterji referat, objęty celami Sekcji Wychowawczo-Oświatowej.

Pierwsze zebrania w bateryjnych Kółkach Ideologicznych zostały poświęcone zdefiniowaniu Deklaracji Ideowych poszczególnych baterji, dalsze — Patronom baterijnym, następnie będą zajmowały się problemami gospodarczymi, ustrojowymi, społecznymi i kulturalnymi.

Sekcja ta dostarcza pozatem najlepszych mówców na wszelkiego rodzaju imprezy szkolne jak akademje i obchody. Ciekawym i nad wyraz pożytecznym odcinkiem działalności omawianej Sekcji — jest praca ideowo-wychowawcza na terenie baterji ówczesnych. To bowiem — co nam daje roczna służba wojskowa w zakresie wiedzy wojskowej — to dać musi żołnierzom bez średniego wykształcenia w jeszcze większym stopniu — w zakresie wiedzy obywatelskiej i ogólnospołecznej. Dzięki nieustannej działalności Sekcji Wychowawczo-Oświatowej na tym terenie — wojsko stać się może dla wielu z nich doskonałą i wszechstronną szkołą w najszerszym tego słowa znaczeniu — a to jest ze wszechmiar pożyteczne ze względu na dobro Państwa. Oczywiście od energii, zdolności i dobrej woli członków tej Sekcji zależy w przyszłości będzie, czy ta najczystszej wody praca społeczna okaże się owocną.

Drugim członem, przez który prowadzi swą akcję K. K. O. jest Sekcja Literacko-Dziennikarska. Skupia w sobie miłośników pióra, przygotowuje teksty do rewji i innego rodzaju imprez szkolnych, pracuje nad okolicznościowymi wydawnictwami Szkoły, zbiera materiały i grupuje je do rocznika S. P. R. A., który co roku jest wydawany na zakończenie kursu. Ciekawym, bo mającym eksperymentalny charakter odcinkiem pracy tej sekcyj jest organizowanie na terenie poszczególnych baterji gazetki ściennych i cotygodniowych mówionych kroniczek prasowych, charakteryzujących najważniejsze wydarzenia zarówno na terenie międzyrodowego i jak wewnątrzpaństwowego życia.

Sekcjami pokrewnymi — są sekcje: teatralna, dekoracyjna, śpiewacza i muzyczna. Pierwsza z wymienionych, obejmującą sobą najlepszych deklamatorów i „speców” od teatru głównie i zasadniczo zajmuje się urządzaniem akademii, rewji, przedstawiń i innych podobnych imprez. Obecnie ma w przygotowaniu uroczystość 11 Listopada, ma zamiar „popełnić” rewję na zakończenie rekrutkiego kursu (w dzień Przystęgi, t. j. 24 listopada), „daje” przedstawienie dramatyczne na 29 listopada i patrzeć i patrzeć! wystawia w dalszej przyszłości samodzielnie sztukę z „żelaznego repertuaru” — „Królowa Przedmieścia”.

W programie jest poza tem urządzenie „Choinki” na święta Bożego Narodzenia.

Sekcja Dekoracyjna — przez swych członków: rysowników i malarzy zajmuje się stroną dekoracyjną przygotowywanych imprez.

Sekcje muzyczna i śpiewacza organizują orkiestrę symfoniczną i jazzową, chóry i dostarczają odpowiednich punktów programów w imprezach, oraz występują w kościele garnizonowym podczas nabożeństw szkolnych.

Węzłem, który cztery te Sekcje łączy — jest daleko-Idąca współpraca przy urządzaniu wszelkich międzybateryjnych imprez.

Specjalnie została zorganizowana w Szkole sekcja fotograficzna.

Sekcja ta dba o odpowiedni poziom zdjęć i rozpowszechnia najlepsze wśród szerokiego ogółu, pośrednicząc w propagandzie i rozsprzedaży.

Sprężyste działająca Sekcja Towarzyska pracuje nad osiągnięciem odpowiedniego poziomu współżycia, zajmuje się urządzaniem palarni bateryjnych, organizuje różne turnieje i zawody o charakterze intelektualno-sportowo-towarzystwym (ping-pong, szachy i t. p.), przygotowuje doroczny reprezentacyjny bal Szkoły, ma w planie zorganizowanie wieczorku zapoznawczego dla całej Szkoły i co-sobotnich herbatek towarzyskich. Sprawuje ona pozatem opiekę i odpowiedzialność nad urzędem świetlicy Nr. 1 — ogólnoszkolną.

Te liczne sekcje nie wyczerpują całokształtu życia „pozaregulaminowego”. Jest jeszcze bowiem Sekcja Historyczno-Muzealna o charakterze raczej seminaryjnym. Zbiera ona i grupuje kroniki i dane statystyczne, odnoszące się do Szkoły, przeprowadza badania historyczno-krajoznawcze Włodzimierza, utrzymuje wreszcie łączność z Towarzystwem Historyczno-Krajoznawczym we Włodzimierz. Pewnym ewenementem jej prac jest prowadzenie Złotej Księgi, zawierającej najważniejsze wydarzenia w Szkole na przestrzeni kilku lat. Księga ta może stanowić niezmiernie ciekawy przyczynek dla historyka, gdyby kiedyś zechciał opracować historję S. P. R. A.

Działalność kulturalno-społeczna K. K. O. nie ogranicza się tylko do terenu wewnątrzszkolnego, ale sięga swą akcją teren szerszy — pozakoszarowy.

Z naciskiem należy podkreślić i z niewątpliwem uznaniem utrzymywanie przez Szkołę Domu Dziecka im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Włodzimierzu. Trzeba zaznaczyć, że dom ten został zbudowany całkowicie ze składek uczniów przy czynnym udziale kadry (Szkoły Zawodowej). W tej formie, najpiękniejszej, bo społecznej i pożytecznej, Szkoła dała wyraz swego hołdu nieśmertelnemu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Domem tym bezpośrednio zajmuje się Sekcja Opieki nad Domem Dziecka. Ma ona za zadanie kontrolę administracji Domu, opiekę nad nim i finansowanie. Szkoła przeznacza miesięcznie około 250 zł. na utrzymanie tej placówki, chroniącej od nędzy i wykoślenia najbardziej potrzebujących dzieci miasta. Pieniądze zdobywa się z funduszy bateryjnych, t. zn. z dobrowolnych składek uczniów.

Społeczna ta akcja stanowi piękną pozycję nie tylko w życiu Szkoły, ale i w życiu całego Włodzimierza.

S. P. R. A. posiada jeszcze jedną sekcję o charakterze czysto zawodowo-specjalnym, jest nią Sekcja Techniczno-Wojskowa z trzema podsekcjami: artyleryjską, topograficzną i łączności. Oprócz pracy badawczo-samokształceniowej w planach jej jest budowa własnej radiowej stacji nadawczej.

Trzy ostatnie sekcyjne jak: Szybocwowa, Morska i Kolonialna i Przyjaciół Strzelca — spełniają zadania, uwidocznione już w samych nazwach.

Oto krótki rys całości życia społecznego w Szkole. Rzecz oczywista, że



Przy wodopoju

fol. Łomski

## P E C H O W I E C

Zbliżał się szybki wieczór jesienny. Skłębione chmury przyskły co chwila drobnym, przenikliwym deszczem.

Wybiegając w niezapiętym płaszczu, z beltującym się pasem, zdążyłem jeszcze krzyknąć Barnabie.

Jeśli dziś nie powrócę, to znaczy, że umarłem!

Podniósł głowę z nad regulaminu kawalerji cz. II i ironicznie się uśmiechnął.

Spotkałem, oczywiście, na schodach Tulipana, który mię umoralniał przez dobre 15 minut, a potem widząc moją niezłomną wolę, chciał mi cofnąć przepustkę. Później miałem zatarg z wartownikiem z 1-go plutonu.

Był to piątek, dzień 13 listopada, więc się nawet nie zdziwiłem, kiedy żółty, malutki tramwaj uciekł mi przed nosem. Ku uciesze przechodniów ganiałem za nim dość długo. Następny miał iść za pół godziny.

— Życie krzywdzi tylko garbatych — wygłosił dzisiaj sentencję Zapolski i zaraz potem spadłem na mordę z konia.

— Jak zęby? — Zagadnął instruktor — pewnie się wszystkie ruszają?

Istotnie — ruszały się.

Próbowałem raz jeszcze. Ruszają się w dalszym ciągu. Kiedy, zdyszany, dobiegłem do miasta było już ciemno i przemokłem do nitki. Z pięknego blasku butów pozostały odległe wspomnienia. Wyglądały, jak po ciężko przebytej ospie.

Spojrzałem z rozpaczą na małą wskazówkę zegara na wieży ratuszowej. Widniało pod nią wielkie 6 i rzecz prosta, przed budką z gazetami nikogo nie było.

Z ciężkim sercem powlokłem się na Groblową i po długim, bolesnym namyśle nacisnąłem guzik dzwonka. Zarechotał serjami podobnymi do strzałów karabinu maszynowego.

Przez skórę przebiegł mi dreszcz.

— Czy jest panna Anna? — zapytałem nieśmiało.

przy pracy artylerzysty, wymagającej niezwykłego wysiłku umysłowego i fizycznego — nie zawsze sekcyjne w 100% spełniają nakreślone sobie zadania. Przeważnie jednak praca traktowana jest najpoważniej — wytwarza się bowiem w S. P. R. tradycja piękna i do naśladowania, że honor osobisty podchorążego trzeba rozumieć wyłącznie jako honor pracy.

To jest najprostszą i najtrudniejszą ideologją w Polsce — najrzadziej może stosowana w życiu, ale to jest najpotrzebniejszą jednocześnie ideologją dla Państwa naszego młodego.

Tak przecież powiedział Józef Piłsudski.

kan. z cen. J. Kozielski Włodzimierz

— Jest, ale chora! — wrzasnęła wściekła, rozmamrana kuchta.

Wszedłem do pokoju. Anna siedziała na fotelu z obolałym wyrazem twarzy i owiązaną głową. Przywitała mię oziębłym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Cóż to za nowa moda? — zapytała mię oschle — spóźniać się? Nietylko, że nie poszłam do kina, ale przeiębiłam się przez pana!

Było mi bardzo przykro. Ogromnie liczyłem na to kino. Obejrzała mię krytycznym spojrzeniem.

— Ależ pan wygląda — parsknęła — osy pana pocięły, czy co?

— Spadłem z konia — wyjaśniłem ponuro — zęby mi się teraz chyboczą.

Coś w rodzaju lekkiego uśmiechu pojawiło się na jej twarzy.

— Pan się więcej nadaje na księdza, niż do kawalerji... oświadczyła — po co się panu było pchać? — dodała z przykrą ironją.

Byłem tego samego zdania.

— Sam teraz żałuję — stwierdziłem z goryczą.

— Pewnie!

Zaległa nieprzyjemna cisza. Zegar cykał na szafce i deszcz bębnił łzawo po szybach.

— Panno Anno... — zaczęłam ochrypliłym od wzruszenia głosem — panno Anno... czy pani wie?...

Zacisnąłem z całej siły ręce, które wydały podejrzanym, chrząkającym odgłos.

Poruszyła się niespokojnie na fotelu.

— Czy pan nic nie czuje? — zapytała z niepokojem.

— Nie... nic... odpowiedziałem zaskoczony — to jest... i owszem... — zaczęłam mamrotać — czuję nawet bardzo dużo...

— Ależ nie — przerwała z niecierpliwością — niech pan powącha powietrze, przecież coś okropnie pachnie!

Obejrzałem dyskretnie swoje obcasy. Były czyste. Podniosłem nos do góry i zacząłem wąchać.

— Nie, zupełnie nic nie czuję.

Spojrzała drwiąco.

— Musi pan mieć niezły katar?

— Możliwe — zgodziłem się — przemokłem nawyot.

— Wionęła delikatną rączką i słabnącym głosem nakazała:

— Niech mi pan poda wody kolońskiej. Stoć na etażerce.

Podaliśmy. Przy sposobności zaczepiłem ostrogą o krzesło, które runęło z wielkim hałasem.

Anna drgnęła, aż zadźwięczały sprężyny w fotelu.

— Boże — szepnęła — co pan wyprawia?

Przeprosiłem i usiadłem na nieżyczliwym sprzęcie.

Zaległa ponownie krępująca cisza.

Czułem, jak ogląda mię z pod długich rzęs.

— Wie pan co — oświadczyła — jakoś coraz mniej mi się pan podoba. Ja lubię mężczyzn wytwornych, zgrabnych, eleganckich... a pan co?

Faktycznie co?... — pomyślałem — nie!

— Ani pan nie ma prezencji, ani nie umie się pan znaleźć — ciągnęła dalej — na randkę się z panem umówić, to pan się spóźni; na wycieczkę, to albo pan siedzi w pace, albo wyleci pan z łódki do wody, albo znów inny jakiś głupi wypadek... teraz znów z tym koniem... wygląda pan jak nieboskie stworzenie... przykro patrzeć...

Siedziałem z opuszczoną głową. Wszystko to była prawda!

Milczała przez chwilę, a potem dorzuciła z żalem:

— Mężczyzna musi być zdecydowany, energiczny, przedsiębiorczy... a pan tylko siedzi i gapi się na mnie, jak na wystawę jaką... i wzdycha bez przerwy...

Musiła się zdenerwować tą przemową, gdyż wybuchnęła:

— A oprócz tego, pan sepleni i niemożliwie cuchnie!

Powtórzyłem w osłupieniu:

— Seplenię... i cuchnę?...

— Tak, tak... właśnie... żeby pan wiedział!

Tego było już zawiele! Powstałem z godnością, ale, jak zwykle wobec Anny nie umiałem się zdobyć na należytą postawę. Język przywarł mi do podniebienia. W ustach czułem jakąś sól z pieprzem.

Ledwo zdołałem wyszeptać:

— Więc... to już... koniec?...

Widocznie żal jej się zrobiło. Spojrzała trochę przychylniej i niezbyt ostrym tonem powiedziała:

— Wszystko zależy od pana. Jeżeli się pan zmienia możemy nie przerywać naszej znajomości.

— Ale, jak... jak mam się zmienić? — jęknąłem.

— To już sam pan musi wiedzieć — nie mogę nic zalecać.

— Dobrze — powiedziałem bez przekonania — żegnam panią nazawsze... a zresztą przyjdę jeszcze w niedzielę.



Niezdarnie pocałowałem ją w rączkę i zupełnie przybity wyszedłem w deszcz i w mrok ulicy. Po trzech krokach przyczepiła się jakaś szarża i zrobiła awanturę o salutowanie.

Po przyjeździe do koszar niezwłocznie obudziłem Barnabę. Nie było to łatwe. Mamrotał przez sen II cz. regulaminu kawalerji. Musiałem czekać, aż skończy.

— Słuchaj — powiedziałem — czy ty mnie kochasz? — i długo popatrzyłem w jego zaspane oczy.

— Ubóstwiam cię! — wychrapiał — i bodajbys zdechtł natychmiast.

Nie zwróciłem uwagi na to życzenie.

— Słuchaj! — powtórzyłem — tutaj chodzi o życie.

Właściwie o dwa życia... moje... i kobiety, którą kocham.

Panowała dramatyczna cisza.

— Otóż powiedz, tylko błagam cię szczerze... czy ja seplenię?...

Barnaba odrazu spoważniał i wykazał duży stopień zainteresowania.

— Powiedz no coś! — zaproponował.

— Szpica jest najbardziej wysuniętą częścią składową ubezpieczenia straży przedniej na osi marszu — wyrecytowałem jednym tchem.

— Nie, powiedz coś na sz!

— Szlem, szakał, szał, szaleństwo, szczur.

— No, a teraz na rz!

— Rzeka, żołnierz, rzepa, żelazo.

— Żelazo nie jest na rz — zauważył mimochodem.

— No, a teraz powiedz prędko „w Strzebrzeszczynie chrząszcz brzmi w trzcinie“!

Spojrzał na mnie triumfalnie.

— Zgadza się — powiedział — seplenisz!

Struchlałem.

— Barnaba — wyszeptałem — przecież to straszne... jak życia mego nie sepleniłem.

Barnaba wruszył ramionami przyodzianymi w rządową koszulę, ze stemplem szkoły na lewej piersi.

— Możeś sobie język przekąsił, albo może szkło połknął, a może masz pypec, albo cię koński giez ugryzł, kiedy byleś jeszcze dzieckiem? — wyraził cały szereg przypuszczeń.

Kiedy powiedział „koński“, odrazu sobie wszystko przypomniałem.

— Barnaba — Rzekłem z wyrzutem — nie przewidziałeś wypadku, kiedy się zęby chyboczą.

— Trudno, o ile wiem nie jestem jeszcze dentystą — bąknął niedbale.

— Doskonale! — stwierdziłem — połowa zagadnienia wyjaśniona — teraz proszę cię powąchaj mię.

Barnaba się krzywił.

— może odrazu cię pocałować? — zapytał rozciągając słowa.

— Nie, to potem... a teraz powąchaj mię, błagam cię w imię naszej przyjaźni!

Na twarzy Barnaby odbił się wyraz skrajnego niezdecydowania.

— Gdzie mam cię wąchać? — zapytał.

— Wszystko jedno... wszędzie!

— Czy pozwolisz, że pewne miejsca ominę?

— Pozwalam!

Barnaba był człowiekiem głębokich zasad. Wszystko co robił, robił poważnie i solidnie.

Obwąchał mię nadzwyczaj skrupulatnie, poczem usiadł i spojrzał na mnie z pewnego rodzaju zazdrością.

Koń sobie, a jeździec sobie

fol. Gześ

„Na twarz“

fol. Gześ



— No i co? — zapytałem pełen niepokoju.

— Nie, — wszystko w porządku.

— Czuleś co?

— Czułem.

— Co?

— Smród!

— Gdzie?

— Wszędzie!

Byłem złamany. Upadłem, jak podcięty kwiat na łożko, przykryte szarym kocem.

— Czemuż ja mogę śmierdzieć u wielkiej cholery? — wyszeptane zmiażdżonym głosem.

Barnaba głęboko się zastanowił.

— Wiesz — powiedział w zamyśleniu — to jest odór złożony... to jest mieszanka...

— Jaka znów mieszanka? — zapytałem przerażony.

— Widzisz — zaczął — i w wielkim skupieniu wyłożył mi następującą teorię zapachów:

— ...naczelnym tonem, że się tak wyrażę, jest w danym wypadku, jak się zapewne domyślasz, zapach końskiego nawozu... ale to wcale nie wyczerpuje kwestji, gdyż do tego dochodzi jeszcze zapach regionalny...

— Regionalny? — powtórzyłem jak echo.

Chwilę pomilczał. Obejrzał w zadumie swoje brudne paznogie.

— ...tak... właśnie regionalny — potwierdził — każdy pluton posiada zapach sobie tylko właściwy i drugiego podobnego nie znajdziesz na całym świecie. Ty posiadasz zapach wybitnie typowy dla 2-go plutonu i powinieneś się tem szczycić. To świadczy, jak głęboko wrosteś w życie plutonu, jak przesiąknęś jego duchem...

Zmierzył sobie włosy wszystkimi palcami prawej ręki, przyczem na czole jego ukazała się głęboka bruzda zastanowienia. Zaczął mówić jakby w natchnieniu:

— ...jest to zapach najpiękniejszy na świecie... niedostępny dla niewtajemniczonych... który z nas kawalerzystów... będzie zawsze czynił wyniosłe zamkniętą grupę ludzi... stojących powyżej marności cywilnych lub dziewiczych poglądów na piękno... Nie tak nie łączy, jak wspólny zapach. Poprobuje się nazreć czosnku — wyleją cię na pysk z każdego towarzystwa, a jeśli się wszyscy nazrą, będziesz radośnie witany...

Spojrzał na mnie z proroczym wyrazem podejrzenia:

— Coś mi się wydaje — powiedział — że ta twoja

donna kręci nadobnym nosem. Am

bry się jej zachciewa i fjołków.

Przyznałem mu rację.

— Wytłumacz babie — oświadczył — że stajnia i koszary, to nie paniński salon... że kiedy ona czyści paznogiety... ty sto razy dziennie podbierasz końskie kupy i różne inne szczególności końskiej toalety kapią ci nieraz wprost na portki... powiedz jej również czem pachną juchtowe rzemienie... i smary do czyszczenia broni... i przepoccona koszula...

— Przedewszystkiem nie „babie“ — zauważyłem dla porządku — to jest piękna i delikatna kobieta.

Pokiwał głową ze smutkiem.

— Może piękna i delikatna, ale głupia też, jeśli nie umie ocenić twójego pięknego zapachu... jabym się tam w takiej anemji nie zakochał... a po drugiej ty nie masz, ani jednej szansy!

— Dlaczego znów nie mam? — zapytałem oburzony. Spojrzał na mnie prawie ze złością.

— Wiesz — orzekł — lubię warjatów, ale w szpitalu... przecież ty nie masz zielonego pojęcia o postępowaniu z kobietami.

— Patrzcie, jaki znawca! — wtrąciłem z przekąsem, ale nie zwrócił na to uwagi.

— Ty jesteś poczciwy, flegmatyczny wół... takie bydło, co ani ryczy, ani mleka nie daje... a z kobietą trzeba, jak z koniem... mocno przy pysku trzymać... żeby wiedziała, że masz w sobie siłę, władzę i moc stuprocentowego mężczyzny...

Na twarzy odbił mu się wyraz obrzydzenia.

— Przecież ty jesteś jakaś niemrawa wata... jakiś śledź moczony... znarowiłeś babę i teraz się dziwisz, że ci podgrymasza.

Musiła go widać niemiłe dotknąć ta myśl, gdyż błysnął oczami i zasyczał przez zęby:

— Jabym jej, psiakrew, pokazał... jabym jej poseplenił... jabym pośmierdził... poczem dodał z najwyższą pogardą w głosie:

— Honoru draniu jeden nie masz! Ot co jest!

Tem powiedzeniem dobił mię do reszty. Schwyciłem się za głowę.

— Co mam robić?... Co mam robić?... załkałem, jak raniiona łania. — Babuś jedyny ratuj duszę moją!

Barnaba poklepał mię protekcyjnie po ramieniu.

— Dobra jest — oświadczył tonem pocieszenia — możesz na mnie liczyć jak na Zawiszę... damy jej, bracie, czosnku, żeby pachniała, jak i my.

Nakrył się kocem i wypowiedziawszy dłuższy ustęp z regulaminu kawalerji cz. II usnął, jak dziecko.

Z uczuciem goryczy uczyniłem to samo.

W niedzielę powracaliśmy o godz. 17 do koszar.

— Miłoś jest jak ten głupi tramwaj — filozofował Barnaba — trzęsie, podskakuje, skręca, spieszy się — i niewiedomo dokąd zmierza...

Miałem mu dużo do zarzucenia.



— Tylko tuman nie wie dokąd tramwaj jedzie — przygadnałem złośliwie.

Zbył milczeniem moją uwagę.

— Nie rozumiem pocóż pchnął służącą?... i byłoby dobrze gdybyś wiedział, że kiedy się rozmawia z kobietą, to się wyjmują papirosy z geby... nie wypina się lekceważąco brzucha... i nie trzyma się rąk w kieszeni... również otwierać lufki, aby splunąć na ulicę, przyznasz, że trochę nie wypada — powiedziałem w tonie gorzkiej wymówki.

Spojrzał w przestrzeń wzrokiem gazeli, ale nie odpowiedział.

— Nie każdy ma wychowanie rezydysty z domu poprawczego... — ciągnąłem dalej z oburzeniem — gwizdać i kląć przy przyzwoitej kobiecie może tylko chłam.

Barnaba zrobił niezdecydowany ruch rękawiczką i wzruszył jednym ramieniem.

— Tak... tak!... tylko chłam! — powtórzyłem z przekonaniem. — Zbladła, jak trup, kiedyś cisnął pejcę pomiędzy szklanki... a potem djabli ci nadali wycierać nos w palce... i jeszcze jej ten sposób zalecać, jako niezawodny środek na katar... — myślałem, że się spalę ze wstydu!

Barnaba siedział ze skruszoną miną i wstydliwie opuszczonymi oczami. Od czasu do czasu postukiwał nerwowo strogami.

— Zniszczyłeś ostatnią odrobinę nadziei, kiedyś wyśkoczył, jak Filip z Konopi, z tym idjotycznym czosnkiem — dorzuciłem w ciężkiej udęcie.

Barnaba słabo zaprotestował.



— Przecież obiecała... że poprobuje... — szeptnął złamanym głosem.

— Obiecała... obiecała... — przedrzeźniłem — kiedyś przedtem zapowiedział, że tylko kretyńcy nie jadają czosnku, to co niby miała powiedzieć?

Barnaba z głęboką pokorą popatrzył mi w oczy.

— Przebac mi... — powiedział zacinając się — pomyliłem się z kretelem... serce mi pęka z bólu!

— Mnie też — odparłem pociechu i poczułem słone lzy w gardle — zabiłeś szczęście mojego życia... ale ci przebaczam, gdyż cię kocham, draniu jeden, sto razy więcej od Anny.

Wzruszeni padliśmy sobie w objęcia.

Nazajutrz, po obiedzie, otrzymałem podłużny list w blado niebieskiej, pachnącej fioletkami kopercie.

Szanowny Panie! — pisała panna Anna — Dopiero poznawszy Pańskiego przyjaciela oceniłam Pańską subtelną i wytwną naturę! Cóż to za ohydne, okropne zwierzę ten Pański przyjaciel! Nabrałam wstrętu do mężczyzny na całe życie! Wpadnijcie do mnie dzisiaj o 7-jej na herbatkę! ale koniecznie obydwaj!!!

S tęskniona — Anna.

PS. Będę czekała do 10-jej”.

Barnaba oczywiście poszedł sam.

Adam Ostoja.

## CO CZYTAĆ?

J. B. Rychliński.—Przygody Krzysztofa Arciszewskiego. — Wyd. Książnicy Atlas—Warszawa 1935 r.

Krzysztof Arciszewski to jedna z najciekawszych postaci żołnierzy polskich w 17 wieku. Znakomity rycerz, sławny wódz, jeden z b. niewiele polskich dowódców artylerji szeroko rozniósł po świecie sławę polskiego imienia. — Admirał i generał artylerji w służbie Holandji wiele odniósł zwycięstw nad Hiszpanami — po powrocie do kraju został pierwszym generałem artylerji koronnej i wstąpił się w walce z Kozakami.

Wobec zbliżającej się 300-letniej rocznicy triumfu, którym witał Amsterdam zwycięskiego wodza, Rychliński uczcił jego pamięć interesującą książką w której w barwny sposób opisuje przygody i walki Arciszewskiego na dalekich morzach, w Brazylii wreszcie wojny z Kozakami i Tatarami w Polsce.

Powieść b. ciekawa i godna polecenia.

Sigurd Hoel. — W dzień październikowy. — Wyd. — Powsz. S-ki Wydawniczej „Płomień” — Warszawa 1935 r.

Dzień październikowy w Oslo... W jednym z wielu małych mieszkań jednego z tysięcy szarych, zwykłych domów — krzyki kobiety — awantura! — Rozpaczliwy krzyk p. Ravn, chcący przebłagać męża, którego porzuciła, by pozwolił jej wrócić do domu. — Mąż, dr. chemii odmawia i wychodzi. — P. Ravn, która spodziewa się dziecka mdleje... Na tle tego drobnego napozór wydarzenia tej scenki jakże pospolitej w życiu osnuwa się treść powieści. — Tryb

życia pięknej p. Ravn budzi, zgorzenie nienawiści i zazdrość u innych „czcigodnych“ lokatorek tego domu, które nie ustają w prześladowaniu intruzki. Echa „awantury“ rozcho-dzą się po wszystkich sąsiednich mieszkaniach, które pokazuje nam autor, w krótkich lecz znakomitych w wyrazie charakterystykach.

Poznajemy życie biednej wdowy poświęcającej się dla córki—egoistki, która przyjmuje to jako należne hołdy i nie umie tego poświęcenia ocenić, domowe pożycie małżeńskie wyższego urzędnika państwowego, bogatego kupca-hurtownika, biednego studenta-pseudokomunisty, dziennikarza, nauczyciela, adwokata — właściciela domu...

Poznajemy ich żony złe i głupie plotkarki, ich prze-ważnie złe i tragiczne w swej płaskości i beznadziejności poży-cie małżeńskie. Wszędzie awantura p. Ravn wywoływała dalsze burze. Klótnie domowe. Kumoszki otaczają p. Ravn coraz bliżej. — Wreszcie wieczorem pod wpływem gorliwej opieki jednej z nich p. Ravn w rozpacz nad beznadziejnością swej sytuacji popełnia samobójstwo wyskakując przez okno. — Z jej śmiercią burza ucicha — we wszystkich mieszkaniach następuje pojednanie mężów z żonami, powrót do szarego filisterskiego życia — według słów żony właściciela domu — dom ich jest spowrotem przyzwoitym domem...

W szarej powszedniości codziennego życia ginie tra-gedja Tordis i dr. Arvida Ravn.

Powieść Sigurda Hoela odznacza się głębokiem ujęciem psychologicznem i stanowi jedną z najlepszych ostatnio powieści autorów północnych.

André Maurois. — Disraeli. Wizerunek czło-wieka i polityka. — Instytut Wydawniczy „Renaissance”.

Biografie wybitnych mężów dawnych epok są niebez-piecznym tematem dla pracy literackiej, gdyż albo trzymając się ściśle i drobniawo faktów stają się oschłe i nudne, albo też rozgrzeszając się ze szczegółowej autentyczności ulegają dowolnym, lecz ożywiający treść, przeróbkom ze strony autorów. Trzeba przyznać, że zupełnie inną drogą poszedł Maurois, przedstawiając nam niesłychanie interesu-jącą sylwetkę wybitnego polityka Anglii XIX wieku. Zachował on chronologiczność i wprost stenograficzną wierność faktów, a pracę swą ujął tak żywo i plastycznie, że nietylko arcyciekawo żywot Disraeliego przesuwają się przed naszymi oczyma w zupełnie naturalnych barwach, lecz równie-jego najbliższe otoczenie i osoby występujące na plat-formie jego działalności, wydają się nam zupełnie realne i posiadają prawdziwy rumieniec życia.

Poznając życie Disraeliego musimy przyznać mu obok szeregu niepospolitych zalet umysłu wyjątkowo silną wolę podsycaną żarliwą ambicją. One poprzez niepowodzenia pierwszych lat, poprzez niechęć angielskiego świata politycznego doprowadzają go do kolosalnej władzy premiera Imper-jum Brytyjskiego i znaczenia jednego z czołowych polityków Europy kształtujących przy zielonym suknie stołów konfe-rencyjnych przyszłe losy szeregu państw. Śmierć zastaje go u szczytu tryumfu i powszechnego uznania zdobytego wła-sną pracą i niezmordowaną a konsekwentną polityką.

Z kart książki Maurois napisanej doskonałym języ-kiem (który nic nie stracił ze swych walorów w starannem tłumaczeniu) pada ciekawe światło na wydarzenia polityki światowej w drugiej połowie XIX wieku jak również na wy-soki poziom walk politycznych w Anglii. Biografia ta, godna uwagi każdego inteligentnego czytelnika, pozwala liczyć na to, że i pozostałe książki z cyklu biograficznego „Marzy-ciele i bojownicy” wydawanego przez Renaissance będą rów-nież interesujące.

Mitosz Gembarzewski — Jan Tarło, pierwszy powstaniec Polski — Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1935 r.

Jan Tarło dla swych cnót i zasług był najpopularniejs-zym Polakiem w połowie XVIII wieku. Ironją losu postać Jana Tarły została zapomniana i ledwie mimochodem bywa wspomniany przez historyków. Tę niesprawiedliwość naprawia M. Gembarzewski, który przypominał już niejednokrotnie postać Tarły w różnych mniejszych artykułach, drukowanych w prasie, teraz zaś poświęcił mu osobne studjum, zwięzłe a bogate w treść, oparte na żmudnych badaniach źródeł drukowanych i rękopiśmiennych.

W świetle pracowitych badań jaśnieje postać Jana Tarły w całym blasku, jako gorącego patrioty, przerastają-cego rozumem i cnota obywatelską współczesnych mu ro-daków, wodza zwycięskiego w polskiej wojnie sukcesyjnej 1733 — 36, wielkiego działacza oświatowego pracującego dla całego narodu, bo kochał wszystkie stany, (fundator „Collegium Nobilium” w Warszawie, założyciel szkoły rzemieślniczej w Opolu Lub.); mądrego polityka, który nie kierował się prywatą, lecz trafnie i przenikliwie pojętym interesem ojczyzny, który w jej służbie nie tylko się nie dorobił i nie poszedł na tak częsty wówczas lep przekupstwa państw obcych, lecz przeciwnie — milionowe sumy na ołtarzu do-bra wspólnegołożył; Tarło już wtedy, 200 lat temu, wysu-nął hasło „za naszą wolność i waszą” w wojnie, która, jak autor stwierdza, była pierwszym powstaniem polskim,

jako świadoma walka o niepodległość z przyszłymi zabor-cami, tem się różniąc od wszystkich powstań następnych, że granic Polski nie uszczupliła.

Z kart książki staje przed czytelnikiem naprawdę wspaniała postać. podziwu godna i porywająca. Nie dziw też, że autor, rozmiłowany w swym bohaterze, zwycięsko polemizuje z tym lub owym pisarzem, który Jana Tarły za-sług nie umiał, czy nie chciał ocenić.

Marcel Brion.—„Śmierć jest piękna”. — Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa.

Książka ta odznaczona w 1934 r. nagrodą literacką Prowancji różni się od innych oryginalnością konstrukcji. Oto autor, posługując się jakimś starym przewodnikiem tu-rystycznym, udaje się do pięknego, rzekomo, pawilonu „Seledynowe zacisze”, znajdującego się na malowniczej wysepce na rzece Lenie. Spotyka go jednak przykre rozczarowanie— zamiast ładnego pałacyku zastaje zgłiszczona. Jak się okazało spłonął on przed 9-ciu laty w nieco tajemniczych oko-licznościach.

Pobudza to fantazję autora, który opierając się na opowiadaniach oberżysty, zaczyna rekonstruować wypadki zaszłe na wyspie i aby nadać im bardziej przekonywujące znaczenie autentyczności, wprowadza do akcji postać Carstena, który uniknął śmierci, wyjeżdżając z Seledynowego Zaci-sza w przeddzień pożaru. Można mieć jednak pewne wąpliwości, czy użycie Carstena w roli dawnego greckiego „chorusa” jest pomysłem najszcześniejszym, kępkuje on mimowoli swobodę autora, a nie dodaje zbyt wiele życia postaciom powieści, które Brion wskrzesił czy powołał do ży-cia w sposób mistrzowski, wyposażając je w naturalne ru-mienie życia i plastyczną charakterystykę.

Powieść napisana jest ładnie i interesująco, typy w niej przedstawione są nieprzeciętne i ciekawe, co zresztą znakomicie ułatwia autorowi w przeprowadzeniu tezy, że ludzie nie mogący znaleźć filozoficznego uzasadnienia swej egzystencji i poszukujący śmierci, sami ją na siebie sprowadzają. I dlatego, przypuszcza, pożar Seledynowego Zacisza nie był zupełnie przypadkowy — przeuczuli go ci, którzy padli jego ofiarą, w myśl zresztą swych pragnień.

Paweł Szumilas — Hanusine Serce — Nowele. Wyd. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1936.

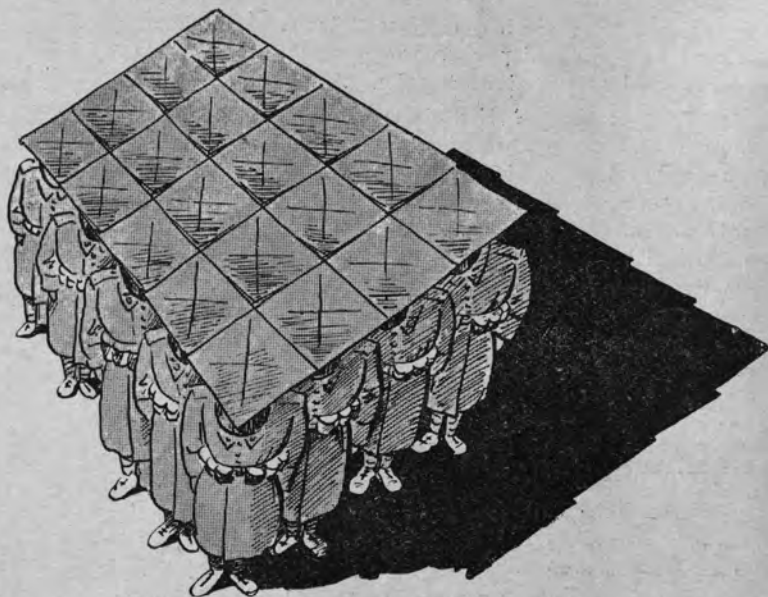
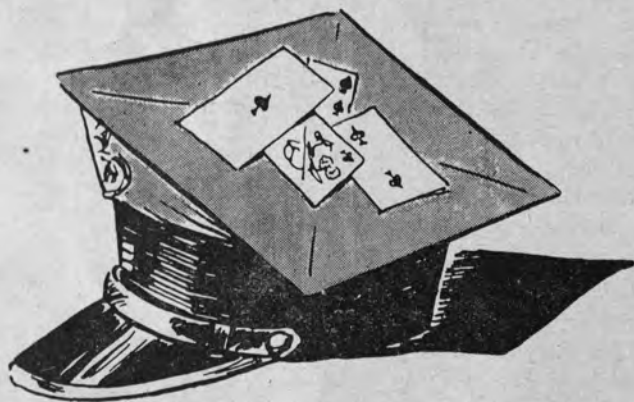
Prawdziwy talent pisarski ma pewną dziwną, irracjo-nalną zdolność przykuwania czytelnika, tą sugestywną siłą, która powoduje, że w niwecz się obracają chęci, zamiary zupełnie obiektywnej oceny wartości literackich, społecznych, tendencji moralnych utworu. Przechodzi się do porządku nad błędami kompozycji, nad wynikającym z braku rutyny pisarskiej prymitywizmem środków wypowiedzenia, przesta-jąc na bezpośrednim obezwaniu z myślą, uczuciem auto-ra, bez reszty oddając się pod ich władzę.

Trzy nowele Szumilasa zawarte w sporym tomie noszą właśnie te znamiona pisarskiego talentu — zdobywają sobie, przykuwają czytelnika i wystawiają autorowi piękne świadectwo.

Niewątpliwie pierwsza z nich Hanusine Serce, dająca swój tytuł całemu tomowi, posiada najpełniejszy wyraz artystyczny. Rozwój akcji, który musi doprowadzić do tragicz-nego rozwiązania, świadomość czytelnika, że poza zasięgiem jego wzroku nawiązany romans ciągnie się dalej, że wszyscy o nim wiedzą, prócz Hanusinego męża, ta miłość, szacunek Hanki dla Dyały, wszystko to stwarza logiczne pod-stawy do takiego, a nie innego zakończenia, w niczem jednak nie osłabiając wrażenia końcowej sceny.

W. B.

# Nowe czapki i ich użycie



Redaktor Naczelny:  
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI  
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI  
Kierownik artyst.: podchor. A. SIEMASZKO  
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa — Smolna 26/28. Konto P. K. O. 26.720  
**WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.**

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzusem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Kozłowski, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Laguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Mileczarek, M. Mokrski, B. Nuszkowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.